Nr. 5. Lwów, dnia 1. Maja 1893. Rok XVI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z zatargów rodzinnych i z ekonomii łowieckiej.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

IV.

Statystyka sarn przekonałaby, iż u żadnego innego zwierzostanu tak ogromne różnice w rocznych korzyściach z polowania zachodzić nie mogą, jak właśnie w łowiectwie sarnim, gdyż zwierz ten, mimo starań hodowli, ulega w pewnych latach wskutek wpływów klimatu i grasowania rozmaitego rodzaju epizoocyj nadzwyczajnemu przerzedzeniu, wielkiej zaś dosięga rozmnoży, gdy szereg korzystnych lat nastanie. W tym drugim wypadku może się okazać w całym kraju potrzeba zmniejszenia zwierzostanów, jeżeli nie mają nastąpić wielkie w kulturach szkody.

Na zachodzie ogradzają już kultury i zagajenia w porządnie zagospodarowanych lasach, gdy zwierzostany sarn doszły do takich rozmiarów, iż na 57 morgach pruskich (25 morgów n. a. = 14 htr.) znajduje się jedna sztuka tej zwierzyny. Praktyka ta dowodzi, czem jest sarna dla kultury i jakie ofiary ponoszą za granicą w celu zabezpieczenia się od szkód leśnych.

U nas wprawdzie, gdzie przestrzenie leśne nie są jeszcze tak wysoko cenione, istnieją, jak tego codzienna praktyka dowodzi, daleko większe zwierzostany sarn w obec wcale nieogrodzonych zagajeń i kultur; czyli to jednak jest dobrze, tego tu roztrzygnąć nie mogę, bo mniejsza lub większa szkodliwość takiego stanu rzeczy zależy od miejscowych stosunków, które w wyjątkowych razach dozwalają utrzymania bardzo obfitych zwierzostanów (1 sztuka na 15 morgów) bez znacznego uszkodzenia lasu.

Gdyby Galicya we wszystkich swych lasach posiadała zwierzostan sarn odpowiadający mniej więcej naprowadzonej normie, t. j. na 14 hktr. powierzchni 1 sztukę sarny, to ilość ogólna zwierza wynosićby powinna mniej więcej $\frac{2.000.000}{14} = 142.890$ sztuk, a przeciętny plon łowiecki z zachowaniem rygorów ustawy $142.890 \times 20\% = 28.578$ sztuk, czyli 5·7 razy tyle, jak dotychczasowo wykazuje statystyka. Dlaczegoż liczba ta jest dziś tak małą? Czyżby wiele lasów naszych nie odpowiadało przyrodą swą hodowli zwierzostanów sarnich? Zdaje się, iż przyczyna tkwi gdzieindziej, w tem mianowicie, że jeszcze bardzo wiele lasów pod względem łowieckim jest zaniedbanych. Lecz nie da się zaprzeczyć, że istnieją także niekorzystne dla sarn lasy, i że tylko staraniem szczególnem podtrzymaćby się tam dały zwierzostany skromne, ale siedliska takie niekorzystne należą do wyjątków, a przeważna część lasów posiada mniej lub więcej odpowiednie dla sarn warunki bytowe, zwłaszcza przy tak szeroko rozgałęzionym po kraju systemie niskopiennym.

Głównym zatem powodem ogromnych różnic pomiędzy możliwością, a rzeczywistym stanem rzeczy, jest, jak to już wspomniałem, nierówne bardzo rozsiedlenie tego zwierza, czyli to, iż wiele jeszcze lasów pozbawionych jest zupełnie opieki, te zaś, które są jako tako po łowiecku zagospodarowane, posiadają zwierzostany o wiele liczniejsze nad wyrażoną normę, jak to ze sprawozdań łowieckich wynika.

Jest wszakże dowód, że przy sumiennem, umiejętnem i wytrwałem staraniu około zwierzostanu, pogodzić się dadzą i sarny nawet z bardzo intenzywnemi stosunkami kultury. Dowodem tym są niektóre prowincye państwa niemieckiego. I tak: na powierzchni 1,163.028 hektarów lasów na Szląsku pruskim ubito w 1886 roku 24.627 sarn, w piaszczystej i jałowej Brandenburgii na 1,282.253 hektarów 16.032 sarn, a w niewielkich, bo tylko obszar 592,396 hektarów obejmujących lasach Pomorza 11.234 sztuk tej zwierzyny *(Stat. Corr. 1886).* Obok sarn ubito w tym samym roku na kniejowych i polnych łowach na Szląsku pruskim 729.793 zajęcy, to jest mniej więcej na $^1/_2$ tej powierzchni jaką zajmuje Galicya, gdzie na tym ze wszech miar wdzięcznym terenie ledwo zdobyczą 40.000 zajęcy wykazać się możemy. Jakże daleko nam jeszcze do owego $1^1/_2$ miliona rocznie ubitych zajęcy, którą to cyfrą dopiero wyrównaćbyśmy się mogli ze wspomnianą krainą bodaj tylko na polu zajęczej zdobyczy, jakże daleko nam jeszcze do tej kultury ziemiańskiej, która tam kwitnie w obec rocznej zdobyczy 24.627 sarn! A przecież cicho tam i błogo, w owych kniejach, wśród pięć razy tak licznych, bo 120.000 głów liczących zastępów sarnich, gdy u nas w obec 5000 ubitych kozłów na niemal 2 razy tak wielkim terenie łowieckim, brzmią już z rozmaitych stron złowrogie głosy oburzenia, zwierz szkodliwy drażni sąsiednich właścicieli, a wybrańce narodu aż w parlamentach podnoszą głos w imię pokrzywdzonych, przemawiają o potrzebie uzbrojenia ludu, aby go w ten sposób uchronić od szkód, jakie zwierzyna w polu i dobytku wyrządza!... *Risum teneatis...*

Głosy tego rodzaju, jakkolwiek bardzo przesadne, mają niejaki grunt prawdy tylko wtedy, jeśli ta prawda odnosi się do dzików i drapieżców w pewnych okolicach kraju. Ale i tu w ręku łowieckiego społeczeństwa leżą racyonalniejsze środki do zmiany stanu rzeczy i uchronienia się od szkód, niż owe pospolite ruszenie ludu, jakie np. proponował poseł Romańczuk w Sejmie w r. 1884, pospolite ruszenie, niebezpieczne i dla łowiectwa i dla moralności ludu.

Anachronicznie zatem brzmią skargi o dokonanych szkodach w dobytku przez zwierzęta drapieżne, ale niemniej anachroniczną jest procedura w razie zrządzonych szkód przez zwierzynę w ziemiopłodach, odstraszającą dla każdego poszkodowanego, a cóż dopiero dla nieszczęśliwego analfabety, z jakich Galicya w $^3/_4$ części się składa. Odstraszającem jest prawo z ubiegłego stulecia, stosowane w naszych czasach, gdyż po dziśdzień jeszcze obowiązuje tu patent z dnia 28. lutego 1786. §. 11, a patent z 7. marca r. 1849 powołuje się tylko na pomieniony paragraf józefińskiego prawa.

W obec olbrzymio zmienionych stosunków społeczno-agrarnych, czas już najwyższy, aby ten 106-letni staruszek legł w archiwach na wieczny spoczynek, i żeby w tem miejscu wykwitło coś bardziej duchem czasu i pojęć współczesnych wionącego. Rozporządzenie ministerstw spraw wewnętrznych i sprawiedliwości z dnia 14. lipca 1859 tłumaczy słowa „Obrigkeit“ patentu józefińskiego, odsełając poszkodowanych do władzy politycznej. Owa „Obrigkeit“ czyli po naszemu „Starostwo“, często o mil kilka oddalone, nawet przy bardzo sprężystej manipulacyi, nie jest w stanie mimo najszczerszych chęci uczynić zadość postanowieniom patentu: „Dass der Schaden allsogleich in Natura oder in Geld vergütet werde“. A po kilku dniach, gdy sprawozdanie szkody w najlepszym razie nastąpić może, szkoda się zaciera i sprawiedliwie oznaczyć się nieda.

Pociąganie do odszkodowania uprawnionych do łowiectwa sąsiednich właścicieli obszaru łowieckiego jest w zasadzie rzeczą słuszną, a paragrafy dotyczące w nowszych ustawach europejskich urosły na gruncie rzymskiej *actio legis Aquiliae,* na zasadzie, iż odszkodowanie ma mieć wtedy tylko miejsce, jeżeli właściciele łowieckich obszarów przesadny zwierzostan utrzymują. Otóż bez unormowania w ustawie, co właściwie jako przesadny zwierzostan uważać należy, z drugiej zaś strony w obec ustawowej ochrony zwierzostanów, paragrafy o obowiązkach odszkodowania nie mogą mieć dla praktyki wielkiego znaczenia. Szkoda istnieje, lecz fizyczny sprawca ani zająć ani do odpowiedzialności pociągnąć się nieda, a rzekomy moralny winowajca, ten rzeczywiście nic nie winien i zasłonić się może innemi paragrafami ustawy łowieckiej, tak, że wśród kosztów i trudów, poświęconych czczym formalnościom, zniknie sprawiedliwość.

U nas, gdzie istnieją tylko wyjątkowo i to bardzo nieznaczne zwierzostany jeleni w rewirach wolnych, nie może być mowy o wielkich szkodach tych zwierząt w ziemiopłodach, a szkody wyrządzone przez sarny mogą wystąpić tylko na takich polach, które przylegają do przepełnionych a nieracyonalnie zagospodarowanych rewirów leśnych. W niektórych okolicach kraju stale utrzymujący się zwierzostan sarn doszedł do granic niezwykłych. Zwierzostany te prosperują wśród lasów i kultur, zostających pod okiem pilnych i zabiegliwych leśników, ale że upartą i energiczną bywa ochrona lasu w obec takiego przepełnienia rewiru, a przytem dość intenzywne karmienie i staranie około zwierzyny, więc rachunek roczny wykazuje znaczne dochody z łowiectwa, nie wspominając nic zgoła o szkodach leśnych lub polnych.

Wyjątkowe to jednak wypadki, bo wyniki łowów sarnich w obec praktykowanej jeszcze u nas na wielką skalę techniki w wykonywaniu łowów, która na nagonce i strzelaniu śrutem polega, są o wiele mniejsze, niżby to być powinno w stosunku do znajdujących się w kniejach zwierzostanów. Następstwem dotychczasowej praktyki łowieckiej bywa z jednej strony kaleczenie zwierza i bezużyteczne tegoż przepadanie w obec rzadko gdzie utrzymywanych i na łowach używanych psów farbowców, z drugiej zaś strony ubijanie tego, czego się ubić nie chciało.

Sądzę więc, że obok systematycznego żywienia i szanowania zwierza w czasie ochronnym, bardzo właściwą na tem polu reformą byłoby rozpowszechnienie większe podchodnego, gdzie się kulą ze sztućca strzela, niemniej strzelanie kulami przed nagonką, osobliwie w kniejach, gdzie się silne zwierzostany sarn znajdują. Tu strzały śrutowe są całkiem nie na miejscu, a osobliwie strzały dalekie śrutem grubym (00); wyrządzając szkodę w zwierzostanach, zabijając lub, raniąc to czego się może nie widziało, ranią one na długi czas i duszę myśliwską. Mówię o tem, bo mi żal i sam jestem pełen winy.

Przed czterma laty, strzeliwszy do kozła, który przed nagonką w towarzystwie kilku sztuk na mnie wyszedł, chybiłem go widocznie, bo kozioł bez wszelkich oznak, iż strzał go dosięgnął, znikł mi z oczu w szybkich susach,

a za nim uniosło się i niewielkie stadko. I byłoby się skończyło na zwykłem pudle, wcale mi niepsującem humoru, „wszak i drudzy chybiali myśliwi“, — ale gdy nagonka się zbliżyła, powstała w zaroślach wrzawa i wielkie zgromadzenie ludowe nad zwłokami sarny, leżącej w trawach w kierunku mego strzału, której to sarny wcale przedtem nie widziałem.

W wielu miejscowościach, gdzie drużyna myśliwska składa się z rozmaitego rodzaju amatorów i dyletantów — z ludzi, którzy rutyny myśliwskiej nie mają, ani jej mieć nie mogą, dla których polowanie jest bądź to hygienicznem ćwiczeniem, lub towarzyską rozrywką — w czem też leży i wielka doniosłość łowiectwa, — polowania z obławą w zimie stają się również powodem innej nieprawidłowości, bo strzela się tu szpiczaki w dobrej wierze i wyrządza tem w zwierzostanie szkody, w obec których strzelanie kóz w pewnym krótkim terminie byłoby mniejszym grzechem myśliwskim. Jest pewien okres czasu na początku zimy, właśnie w porze, gdy najwięcej polowań się odbywa, w którym kozły w ogóle dają się odróżnić tylko wielkością i cechami, wymagającemi bardzo rutynowanego oka; nie trudno tu zatem wyniszczyć, w najlepszej wierze, przyszłe podpory rodu sarniego.

W łowach podchodnych, w tym istnym pojedynku pomiędzy ostrożnością i subtelną czujnością zwierza, a wytrwałością i zmyślnością człowieka, stanowiącym dla prawdziwego myśliwngo szczyt rozrywki łowieckiej, znaleść można godną nagrodę za starania i trudy, jakich utrzymanie pięknych zwierzostanów sarnich wymaga, a pomyłki i przykre rozczarowania, towarzyszące łowom przy użyciu obławy, bardzo rzadko się tu trafiają.

Strzały do kozłów kulami przed obławą nie są również rzeczą tak trudną, jakby to się zdawać mogło tym, którzy zawsze tylko śrutem strzelają. Zapewne, że najlepszy nawet strzelec i z najlepszej broni nie może ręczyć za dobry strzał kulą, gdy zwierz w dzikich susach pomyka, najczęściej wszakże wychodzi kozioł w ten sposób, iż myśliwy znaleść może chwilę do wygodnego i celnego strzału, a skuteczność takiego strzału, niemniej opanowanie strzałem większego terenu, wynagradzają tu w zupełności korzyść bliskich strzałów śrutowych, których skutki rzadko kiedy z góry oznaczyć można, bo człowiek wprawdzie strzela, ale Boruta wedle humoru, bieda wie gdzie śruty pozanosi.

Przemawiając za tą reformą łowieckiej praktyki, daleki jestem od myśli, jakobym mógł znaleść w szerokich kołach posłuch i uznanie. Rzecz tak postawiona może być tylko apelem do kół ściśle zawodowych, którym wstrętne jest farbowanie uszłego zwierza i które nie mogą tego ścierpieć, aby po kniei błąkały się nieszczęśliwe kaleki, lub po gąszczach leżały kadawry, ściągające rozmaitego rodzaju drapieżną hołotę. Prawdziwemu myśliwemu przynosi chlubę tylko taka na rozkładzie zwierzyna, która w sposób prawidłowo łowiecki ubitą została, a w obec kozła jedynie strzał kulą może być za prawidłowo myśliwski poczytanym.

Mówiąc o potrzebie unormowania zwierzostanów zeszedłem na praktykę łowów sarnich. Zdawaćby się mogło, iż oddaliłem się tem samem od przedmiotu, lecz tak nie jest. Sposób wykonywania łowów łączy się ściśle z ochroną i hodowlą zwierzostanów i tak być powinno, jeśli się chce usuwać mętne wyobrażenia o tem, co się w kniei znajduje, a co się znajdować powinno. Otoż niech mi wybaczą zwolennicy strzałów śrutowych przed naganką, gdy powiem, iż wśród takiej praktyki nie mogą sobie jasnego dać sprawozdania o skutkach strzałów, bo najczęściej nie wiedzą, iż wiele tak zwanych pudeł zadaje dotkliwe ciosy przyszłości zwierzostanów sarnich.

Starania około warunków bytowych zwierzyny w lesie muszą mieć dwa cele na oku: odwrócenie zwierzyny od sposobów żywienia się, przynoszących szkodę gospodarstwu leśnemu i rolnemu, a powtóre umożliwienie trwałej produkcyi przez popieranie znajdujących się już w lesie środków bytowych.

Chroniąc kulturę leśną, i żywiąc racyonalnie zwierzynę, osiągamy oczywiście większe korzyści i z lasu i ze zwierzostanu; koszta łożone zwraca podówczas w wielkiej części zwierzyna sama, bo jeżeli korzystne z natury stosunki siedliskowe wywierają ogromny wpływ na wzrost, rozmnożę i wagę zwierza, to wszystkie te dodatnie strony wystąpią wyraźniej, gdy dane od przyrody warunki wesprze troskliwa i rozumna ręka. Każda sztuka będzie wówczas większą i cięższą, a pieczyste smaczniejsze i doborowe. Wartość jednego i tego samego gatunku może być dwa razy wyższą, gdy sztuka jest łojną i skromną w porównaniu do złej i cienkiej, a już wcale żadnej wartości nie przedstawiają egzemplarze zbiedzone (kozły), jakie zdarza się ubić nieraz w lutym w siedliskach nieprzyjaźnych, gdzie niczego zgoła dla zwierzyny nie uczyniono, lub którym gdzieś w mięśniach zabłąkał się śrut jesiennego postrzału.

Rzecz niezawodna, iż tam, gdzie niema zamiaru uczynienia czegokolwiek dla zwierzyny w porze zimowej, najlepszem jeszcze byłoby uprzątnąć wcześnie nadetatową zwierzynę w chwili, gdy nosi w ciele zapasy wyżywienia letniego. Przysporzyłoby się w ten sposób środków utrzymania dla zwierza pozostałego, a pozyskało zwierzynę użyteczną. Jednak o ileby to z korzyścią było dla hodowcy, o tyle znów zachodzą tu trudności i przeszkody nie dozwalające zastosowania tego prawidła. Pominąwszy już trudność łowów na czarnej stopie, nastąpićby mogła zbyt silna podaż zwierzyny w porze niekorzystnej dla transportu i konserwowania zwierzyny, a to musiałoby pociągnąć za sobą gwałtowny spadek cen. Główna pora łowów przeciągnąć się zatem musi aż do ustalenia pory mroźnej, a czasem kalendarzowym wywołane lepsze ceny zwierzyny o tej porze wynagradzają ubytek wagi w porównaniu do jesiennych miesięcy (październik i listopad).

System niskopienny z krótką koleją wyrębową, stosowany tak chętnie, osobliwie w mniejszych lasach, sprzyj bardzo przyrodzie sarny i wygodne nadarza ostoje, w porze zaś zimowej, osobliwie na zrębach, które się tu zwykle z opadaniem liścia rozpoczynają, znajdują sarny mnóstwo środków pokarmowych. W miejsca te gromadzi się zwierz ze stron wszystkich, a mioty łowieckie obok takich zrębów najlepsze dają rezultaty. W lasach takich mieszanych, gdy się dużo miękkiego drzewa i podszycia znachodzi, w szczególniejszej łojności utrzymują się sarny przez zimę, a przynajmniej dopóty, dopóki zrąb trwa i kupy rozmaitych gałęzi wielki wybór żywności przedstawiają. Można tam ujrzeć całe gromadki sarn, zajęte po kilka godzin przy takiej kupie wybieraniem i odgryzaniem rozmaitych pędów i pączków, przyczem przybierają częstokroć tak dziwaczne postawy, gdy chodzi o uszczknięcie jakiego głęboko ukrytego kąska, iż trudno czasem uwierzyć, iż pod wpływem woli, zwierze jest wstanie przybrać taką postawę. Tu można też obserwować całą skalę wartości rdzmaitych drzew i krzewów pod względem pokarmowym.

Jednak trwanie takich zrębów jest zazwyczaj niedługie, a osobliwie w miejscach niezbyt w opał zasobnych. Pod dzia-

łaniem silnego popytu sprzedają drzewo co rychlej, wieśniak do najdrobniejszego pręcika wywozi w zawody gałęzie, resztę zasypują śniegi — i stół dziatwy leśnej, niedawno tak bogato nakryty, stoi smutny, nagi i biały. Brak po dostatku — oto najdotkliwszy brak; niedziw zatem, iż pod wpływem tej nagłej zmiany, rzuca się zwierzyna z całą chciwością bądź na odrośla starszych zrębów, bądź przenosi się w kultury sąsiednich lasów. I w tych zatem lasach następuje chwila krytyczna, i okazuje się potrzeba przyjścia w pomoc zwierzynie, zwłaszcza pod wiosnę, gdy organizm nadwątlony nieprzyjaźnemi wpływami, jest najmniej odpornym.

Jeżeli uszkodzenia w lasach odroślowych nie stają się tak widocznemi, jak to ma miejsce wśród kultur wobec jednakowej zresztą obfitości zwierza, to przyczyna tego leży po części w powodach, o których przy omawianiu istoty uszkodzeń wspomniałem, po części zaś w tem, że gatunki drzew, dominujące w gospodarstwie odroślowem, nie odpowiadają zazwyczaj gustom zwierzyny (olcha). Gdy zaś drzewostany odroślowe stanowią gatunki drzew, których młodociane pędy chętnie zwierzyna psuje, to uszkodzenia gubią się dla oka wśród wielkich w takim razie zapustów, które o tyle są większe, o ile kolej krótsza, lecz chociaż gubią się dla oka, nie pozostają zawsze bez znaczenia dla lasu. (Np. odroślowe gospodarstwo dębiny).

Nie we wszystkich lasach pojawiają się drzewa, krzewy lub zioła, których znaczenie dla leśnictwa jest prawie żadne, a dla łowiectwa wielkiej doniosłości. Podczas, gdy w pewnych położeniach przyroda leśna wytwarza tak różnorodną szatę wegetacyjną, iż racyonalny leśnik, mając na oku główną produkcyę leśną, zaledwo część tych roślin w interesie łowiectwa utrzymać może, to w innych znów panuje w tym kierunku dziwne ubóstwo, i miejsca niewyzyskane lub wyzyskać się niedające dla kultury leśnej są albo ogołocone z wszelkiej wegetacyi, albo wyrasta tu coś obojętnego lub wcale szkodliwego dla zwierzyny. Pomiędzy temi dwoma ostatecznościami siedlisk zwierza, jakie w naturze spotykamy, mieszczą się niezliczone modyfikacye, wpływające na jakość i charakter siedliska. Zadaniem postępu musi przeto być zatarcie tych rażących różnic w siedliskach naturalnych, a tem samem wytworzenie znośnych dla zwierzyny stosunków bytowych.

Wobec niezliczonej rozmaitości warunków, jakie w naturalnych siedliskach się spotyka, niepodobna tu podawać szczegółowych norm służyć mających do poprawy tychże. Rzecz musi być tylko ogółowo traktowaną, a mistrzem swej sztuki będzie ten, kto po zbadaniu miejscowych danych, potrafi w należytej mierze zastosować doświadczeniem wskazane prawdy do swego celu. Nie wiele to zaszkodzi porządkowi w lesie, jeżeli tu i ówdzie wśród lasu znajdować się będą bądź pojedyncze drzewa i krzewy, bądź grupy gatunków, znanych z pożytku pokarmowego dla zwierzyny. W każdym lesie, jak sądzę, znajdzie się na to aż nazbyt miejsca, które w ten sposób może najlepiej wyzyskanem zostanie, zwłaszcza, że bardzo długim jest wykaz pożytecznych dla zwierzyny drzew, krzewów i ziół, i bardzo rozmaite wymagania tychże pod względem siedliskowym. Wiele z nich godzi się z warunkami bardzo skromnemi, inne znoszą cień drzew, lub wegetują doskonale na brzegach lasów, na burtach rowów granicznych, lub przy drogach, wreszcie są tam specyaliści kotlin podmokłych, nie dających się tak łatwo ameliorować dla kultury leśnej. Do całego szeregu naszych leśnych krzewów i podkrzewów, które bądź swemi pędami bądź owocami karmią zwierza, dołącza się mnóstwo aklimatyzowanych w tym celu drzew, krzewów i roślin zielnych. Wymieniam tu tylko najważniejsze: grusze, jabłonie, czereśnie, jawory, klony, brzosty, czeremchy, jarzębiny, osiki, iwy, topole, kasztany dzikie (*Aesculus hippocastanum*) akacye (*Robinia*) czyli grochodrzewy w odmianach *R. pseudo-acacia* i *R. caragana*, głogi, jaśmin dziki także cybusznikiem zwany (*Philadelphus coronarius*), żarnowiec miotłowy (*Sarothamnus scoparius*), przedewszystkiem przez zwierzynę lubiany podkrzew, tworzący nieraz po suchych piaszczystych miejscach całe zarośla, bulwy albo topinambar (*Helianthus tuberosus*). Słoneczniki w rozmaitych odmianach rocznych i trwałych (*Helianthus annus*, *multiflorus*, *Goliath etc.*) Kozioróg (*Trigonella foenum graecum*) także greckim sianem zwany, roślina z rodziny motylkowatych, pachnąca aromatycznie kumarynem, znana już starym Egipcyanom; (po dziś dzień używają kobiety na wschodzie ziarn tej rośliny, aby osiągnąć wysoko cenione w haremach zaokrąglenie kształtów ciała — oby podobny skutek wywarły ziarna te i w haremach kniei!); — wyka kosmata (*Vicia villosa*), dająca nawet na glebach piaszczystych dość obfitą paszę; groch leśny (*Lathyrus sylvaticus*) trwała roślina pastewna, zadawalniająca się byle jakim gruntem piaszczystym a nawet kamiennym, i nie znosząca zbytniej wilgoci.

Mógłbym jeszcze przytoczyć wiele roślin, których kultura w lesie bardzo niewiele kosztuje, a które zjednały sobie należyte uznanie w całym racyonalnym świecie łowieckim. Już po dziś dzień istnieją na zachodzie wielkie handle nasion lub sadzonek roślin specyalnie dla celów łowieckich sianych lub sadzonych po lasach i polnych remizach. (Handel taki w Bielsku prowadzi R. Nehrlich).

Jak w rolnictwie zależą wyniki zbiorów od mniej lub więcej trafnego wyboru roślin, wziętych do uprawy, podobnie ma się rzecz i tutaj. Granice zakreślone naturą rzeczy nie mogą być i w tej skromnej produkcyi bezkarnie przekroczone. Wyliczywszy mnóstwo wypróbowanej już jakości ziół, krzewów i drzew, z których w danym wypadku wybór uczynić należy, nie chcę bynajmniej zachęcać na razie do uprawy egzotycznych nowalii, które jakkolwiek mogą być bardzo dobre, należą bardziej do ogrodów doświadczalnych niż do praktycznych celów w kniei. Specyalne katalogi handlów mieszczą mnóstwo takich nowości, a szeregi te pomnażają się co roku nowemi nabytkami, głośno reklamowanemi. I nie dziw, że tak jest, bo zwierzyna to niby dziatwa rozpieszczona, coraz to świeżych wymaga specyałów i łakoci, a kto raz podjął starania w tym kierunku, ten chcąc ochronić las od szkód a uprzyjemnić zwierzostanom stosunki siedlisk, z każdym rokiem podawać musi jakieś nowalijki, zwracające na się uwagę zwierzyny.

W stosunkach naszych, gdzie w tym kierunku albo wcale nic jeszcze albo bardzo mało co zrobiono, nie byłoby wcale na miejscu naśladownictwo ślepe tego, co zagraniczna praktyka na tem polu wykazuje. Na razie, gdzie jeszcze lasy nie znajdują się na intenzywnym szczeblu kultury, mamy w drzewach i krzewach naszego klimatu, niemniej w ziołach tego rodzaju wybór niemały. Wspomniałem tu jednak o różnych zamorskich przysmakach jedynie dlatego, aby wykazać, do jak dalekich granic posunięto starania w krajach innych w celu, jeżeli już nie zbratania dwóch zwaśnionych siostrzyczek — leśnictwa i łowiectwa — to przynajmniej sprowadzenia wzajemnego *modus vivendi*.

Jeżeli w naszych lasach jeszcze tak nie jest i być nie może, jeżeli tam na wielkich nieraz obszarach, przedstawiających ruiny lasu, skąpa się żywność dla zwierzyny wytwarza, jeżeli w wielu jeszcze okolicach panują w gospodarstwie leśnem stosunki prymitywne, to są to także przyczyny, dla

których tam bez żadnych właściwie starań i wielkie zwierzostany utrzymać się mogą. Rok każdy posuwa nas wszakże naprzód, szkolnictwo fachowe i praktyka teoretyczna wiedzą poparta, wprowadzić muszą wreszcie zmiany, wobec których wysuwa się coraz to jaskrawiej konieczność starań około łowiectwa, starań, opartych na gruntownej wiedzy, wolnych od uprzedzeń wieków. Tylko wtedy poczciwa nasza ziemia pielęgnowana rozumną ręką wykocha nam zwierzostany, których się nie powstydzimy przed oczami Europy, tak, iż zamilkną gorzką ironią zaprawione głosy tych, którzy, wychowani na naszym chlebie i świadomi stanu wielu nieszczęściami skołatanego kraju, nie potrafili sprawiedliwie osądzić przyczyn, dla których w chwili przebudzenia się naszego do pracy organicznej, znaleźliśmy się daleko wyprzedzeni przez innych, szczęśliwszych na tem polu. Dzięki usiłowaniom pojedynczych obywateli kraju osiągnięte już skutki, o których donoszą czasopisma fachowe, a który zachęcić tylko mogą innych, i oby wkrótce zabrzmiała z całego kraju ta struna, która dziś jeszcze tylko w pojedynczych okolicach kraju nadzieję lepszej przyszłości łowieckiej wydzwania. Zamilkną wtedy namiętne i jednostronnie, na ostrzu miecza stawiane wyzwania, a z podwojoną energią toczyć się będą dalej spokojne i umiejętne dysputy, rozjaśniące wiele ciemnych dotąd kwestyi, i pod wpływem spokojnych rozważań znikną jak mgła przesądy i jednostronne poglądy, rzucające dziś leśników i łowców przeciw sobie. C. d. n.



Pan Mortko Maurycy.

Nie tak to teraz jak dawniej bywało! Kilkudziesięciomilową drogę przebywało się końmi, na co kilka dni czasu potrzeba było, a dziś tę samą przestrzeń szuśniesz koleją w kilka godzinach. Kolej wyrugowała mnogość dawniejszych furmanek, a z niemi, prawdę powiedziawszy, i te konie, które miesiącami w drodze wytrwać umiały. Pług drewniany ustąpił żelaznym „samochodom", a cepy młocarniom parowym, rusznicę skałkową zastąpiła kabzlówka, a kabzlówkę, o której się swego czasu mniemało, że doszła do szczytu wydoskonalenia, potłukła na łeb na szyję rozlicznych systemów broń odtylcowa. Śmiało tedy rzec można, że sztuka mechaniki zrobiła krok o kilka wieków naprzód.

Lecz i w ustroju nas samych zaszły zmiany; zamiast kataru, na który prócz mokrego ręcznika innych remedyów nie bywało, mamy nieżyt kiszek, żołądka, anemię, newrostenię, dyfteryę, influencę i setki rozlicznych chorób, trudnych do zwalczenia.

Na nieliczne słabości była ongi apteczka domowa, i poradnik lekarski, zazwyczaj drugą część książki kucharskiej stanowiący i tylko od ciężkiej słabości, i dla ludzi w dobrym bycie, był o mil kilka a nawet kilkanaście, lekarz, zazwyczaj chirurg.

Takim to lekarzem był pan Mortko Maurycy, pochodzenia oryentalnego, ale poczciwy człowieczysko. Lubiano go powszechnie i mówiono o nim bardzo daleko. Był izraelitą, lecz o tem trzeba było od drugich wiedzieć, gdyż wymową się nie zdradzał, a gdy wszedłeś do stancyi, duży czarny krucyfiks ustawiony na biurku, wpadał ci najprzód w oko. Nad łóżkiem zawieszony mniejszy krzyżyk, a ściany zdobiło kilka wizerunków świętych (czy poświęcanych tego nie wiem) i dwie rusznice na krzyż, udekorowane trzema pistoletami i szerpentyną, o klindze ozdobionej srebrem i szczerbami z lepszych czasów.

Cztery córki pana Mortka Maurycego, Emcia, Róża, Ewcia i Mińcia, co niedziele i święta mszy św. w kościele nie opuszczały — i tylko połowica pana Mortka Maurycego dławiła się przeciągłem r... zdradzając swe pochodzenie.

Nazywano naszego lekarza konsyliarzem, Maurycym i Mortkiem, a temu ostatniemu dała powód jedynie połowica, która w chwilach uniesienia, ze zgorszeniem całego domu Mortkiem go nazywała.

Niezaprzeczenie p. Konsyliarz miał szczere postanowienie, z całą rodziną przejść na łono kościoła katolickiego. Ale jak to zwykle bywa, w każdych zamiarach człek napotyka przeszkody, tak też i konsyliarz nie mógł rychło z zamiarem swoim się uporać. Pierwszą przeszkodą była matka połowicy konsyliarza, która żyła w zabranych prowincyach, a że mieszek miała nabity, więc też konsyliarzostwo wyczekiwali przedewszystkiem pielgrzymki jej do lepszych światów. Zmieniając bowiem obrządek przed śmiercią matki, musieliby chyba położyć krzyżyk na spadek, a to, mówiąc bez ogródek, i w owych czasach więcej ważyło niżeli wyznanie.

Drugą przeszkodą był spory dobytek: cztery córki konsyliarza. Patrząc na nie tak konsyliarz rozumował: „At! i katoliczka w tych czasach nie wiele warta bez posagu, a cóż dopiero żydówka! Z żydówki zaś może być katoliczka na zawołanie i tak znajdzie konkurent to co zechce, byle się tylko trafił!". Innym zaś razem tak mawiał: „Wino staje się popłatniejszem im starsze, ale pannom czas nie pomaga i jak się zestarzeją, nikt ich nie chce. Co z niemi wtedy robić?".

Faktycznie dwie córki pp. konsyliarzostwa wyszły za katolików, a dwie za postępowych żydów. Przy obrzędzie ślubnym najmłodszej córki, którą za żonę wziął katolik, przeszedł i konsyliarz na łono kościoła katolickiego. Tylko połowica jego pozostawała niby to w swej wierze, bojąc się wydziedziczenia ciągle dobrem zdrowiem cieszącej się matki.

Poczciwego konsyliarza otaczała ogólna sympatya i poważanie, które zjednał sobie swemi zaletami. Charakteru był nieskazitelnego, a jako lekarz, chętnie spieszył wszędzie z pomocą i leczył bardzo szczęśliwie. To też miał powodzenie. Przyjechawszy do chorego, nie spieszył czemprędzej z powrotem, zbadał pacyenta dokładnie i nie było wypadku, ażeby nie rozpoznał słabości. Słynął więc powszechnie jako nieprześcigniony dyagnosta. Nie wlewał w pacyentów na jakąbądź niedyspozycyę mikstur aptecznych, pomagał naturze domowemi środkami, a nie trzymał chorego niepotrzebnie w łóżku, i owszem, co najmniej po izbie kazał się przechadzać. Posiadał wreszcie konsyliarz i tę cnotę, że lubił polowanie, a nawet był myśliwym.

Polowań podówczas nie przestrzegano tak, jak obecnie. To też konsyliarz jeździł do chorego zawsze z rusznicą i po

drodze brał co się dało, a przyjechawszy do chorego wieczorem, z pewnością już przenocował, żeby nazajutrz po drodze znowu polować.

Na liczniejsze polowania w sąsiedztwie zawsze konsyliarza proszono. Nie szczególnie wprawdzie strzelał, ale był przyjemnym towarzyszem i bawił dykteryjkami, nigdy czyimś lecz zwykle własnym kosztem.

W młodym wieku konsyliarz wcale nie był pochopnym do rusznicy, lecz stosunki i znajomości wiejskie oddziaływały nań żywo i szybko, i wkrótce stał się zagorzałym zwolennikiem polowań.

Pani konsyliarzowa, choć chętnie czomber zajęczy konsumowała, byłaby przecież wolała, aby ten zając przez kogo innego a nie przez jej męża na stół się dostawał. Strzelba nie robiła dobrego wrażenia na p. konsyliarzowej, a już najbardziej wtedy, gdy ją ujrzała na konsyliarzu. Język jej dopiekał podówczas do żywego biednemu „Mortkowi“. Na swe szczęście znajdywał konsyliarz poparcie u wszystkich czterech córek, i jedynie temu przypisać należy, iż dla świętego spokoju nie wyrzekł się rusznicy.

Lecz pomimo tego poczwórnego sukursu, trafiały się nieraz w chałupie konsyliarza sceny małżeńskie z powodu polowania, zwłaszcza, gdy wydatki na córki wzrastały, a ubywał dochód z praktyki, której czas rabowała wzrastająca pasya myśliwska. Finanse konsyliarza nie były nigdy w opłakanym stanie, ale konsyliarzowej zachciewało się coraz więcej. To też nieraz przybyłą po konsyliarza furę, zatrzymywała konsyliarzowa jak mogła, obiecując, że konsyliarz zaraz wróci od pacyenta i pojedzie, a tu tymczasem mijały godziny, i konsyliarz, wypłoszywszy zająca z pod miedzy i bodiaków, ani myślał do domu powracać.

Razu jednego odwidziłem dom konsyliarza w intencyi omówienia wspólnego polowania na błotach. Nie zastałem konsyliarza w domu, a że pani konsyliarzowa zawsze była na mnie łaskawą, nie chciałem jej przeto psuć humoru i nie wygadałem się z właściwym celem mej wizyty. Zastałem panią konsyljarzowę z robótką przy oknie, w które z widocznym niepokojem co chwila spoglądała. Wiedziałem już co to znaczy, że wygląda przybycia konsyliarza, który biega gdzieś z rusznicą po polach. Nadeszła chwila podwieczorkowa, podano herbatę, zasiedliśmy do stołu, a gdy herbata miała się już ku końcowi, powrócił konsyliarz. Tłuste policzki pani konsyliarzowej oblał w tej chwili groźny rumieniec, zapowiadający burzę.

Konsyliarz, powiesiwszy strzelbę w swoim pokoju, zjawił się niebawem w progu bawialni, gdzieśmy w dobrych humorach, z wyjątkiem pani konsyliarzowej, kończyli herbatę.

— Czy nie było kogo po mnie? — zapytał wchodząc.

Nie dając długo czekać na odpowiedź rzekła p. konsyliarzowa:

— Były dwie fury, czekali ale odjechali.

— Odjechali? — odrzekł z spokojem konsyljarz — widać, że mnie nie było bardzo potrzeba...

— Nie czekali, bo im trzeba było lekarza, a nie strzelca — odparła p. konsyliarzowa — ktoby tam chciał się kurować u strzelca i gdzieś aż po polu za nim jeździć.

I Bóg wie jak długą i siarczystą tryplikę byłaby wysypała, gdyby nie turkot zajeżdżającego wozu, i panna Emcia, która wracając w podskokach zawiadomiła, że przyjechały te same konie, które przedtem były.

— Ale drugich nie ma — zauważała p. konsyliarzowa.

— Nie troszcz się duszko! Będę dziś i u drugiego pacyenta. Tam tak źle nie jest, poczeka parę godzin.

Rzekłszy to, kończył konsyliarz duszkiem herbatę, a nabrawszy lepszego humoru, opowiadał, jak mu się polowanie dziś nie udało, poczem wstał, pożegnał wszystkich i odjechał.

Spuściłem ja teraz nos na kwintę, żegnając w myśli projekt jutrzejszego polowania. Nie było czasu ani sposobności pomówić o tem z konsyliarzem, a że dałem mu słowo, że bez niego nie pojadę, więc musiałem się jutrzejszej przyjemności wyrzec.

Wkrótce potem i w tej samej intencyi odwiedzam powtórnie konsyliarza. I tą razą nie zastaję go w domu, ale za to p. konsyliarzowę w lepszym niż poprzednio humorze, siedzącą nie przo oknie, tylko w rozłożystym, silnym, tuszy jej odpowiadającym fotelu, a od panny Emci dowiedziałem się zaraz na wstępie, że tatko jest na polowaniu.

Oczekując powrotu konsyliarza, doczekaliśmy się znowu pory podwieczorkowej, a herbatka była o wiele przyjemniejszą, bo całe towarzystwo było w dobrym humorze. W ciągu dnia nie wróciła żadna fura daremnie, więc pani konsyliarza miała wypogodzone oblicze, mnie zaś dostało się najwygodniejsze miejsce w sąsiedztwie wesołej panny Emci.

Na herbatkach pp. konsyliarzów powtarzała się zawsze jedna formalność, z którą ani rusz nie mogłem się oswoić. Oto podawano herbatę nieosłodzoną, a cukier zjawiał się w srebrnej zamkniętej cukiernicy. Pani konsyliarzowa dobywała wówczas pęk różnej wielkości kluczyków, a wybrawszy z pomiędzy nich najmniejszy, otwierała cukiernicę, którą następnie podawano sobie z rąk do rąk, poczem ją p. konsyliarzowa napowrót zamykała i kluczyki chowała do kieszeni.

Dobry humor p. konsyliarzowej, niemniej całego towarzystwa, skusił mnie do psoty. Z krążącej cukiernicy, gdy przyszła kolej na mnie, wybrałem malutki kawałeezek cukru i wrzuciłem do szklanki z herbatą, Wkrótce cukiernica była wolną, a znalazłszy się w ręku p. konsyliarzowej została zamkniętą i kluczyki utonęły w jej kieszeni. Po chwili sięgnąłem po cukiernicę, co widząc pani konsyliarzowa, dostała kluczyki z kieszeni, otworzyła cukiernicę i posunęła ją ku mnie. Wybrałem znowu najmniejszy z maleńkich kawałeczek cukru, i wrzuciłem go do szklanki, a w tej chwili cukiernica znowu była zamkniętą, i kluczyki w kieszeni p. konsyliarzowej. Mięszam herbatę, daję do poznania, że jest gorzką i znowu sięgam po cukiernicę. I tak złośliwie powtarzam tę manipulacyę, zniewalając panią konsyliarzowę do ciągłego wyciągania kluczyków z pomiędzy bujnych falban sukni, gdzie trudno kieszeni wyszukać.

Nareszcie sprzykrzyło się to pani konsyliarzowej, więc zwracając się do mnie mówi:

— Niech pan dobrze zakałamuci.

Cóż było robić? Wypadało skończyć igraszkę i wypić gorzką herbatę, a tymczasem otwarły się drzwi śmiało i szeroko i z torbą przez plecy a rusznicą na ramieniu zawieszoną stanął na progu pan konsyliarz w całej swej okazałości i z bardzo dobrą miną. Poskoczyła ku niemu panna Emcia, i pyta:

— No, ojczulku, jak się udało polowanie?

— Bardzo dobrze — odparł konsyliarz — ubiłem aż dwa zające, ale ogromne, jakich nie widziałaś jeszcze, musiałem nająć chłopa, bo sam ich donieść nie mogłem, zaraz nadniesie.

— A, bardzo ładnie spisał się mój ojczulek! — wołała Emcia — muszę za to pomódz się rozebrać.

Zdejmuje więc ojcu rusznicę, lecz wskutek dobrego usposobienia i pospiechu, kiwnęła strzelbą i uderza nią w obok stojącą, dużemi szybami oszkloną szafę. Szyba brzękła i rozsypuje się po podłodze.

— Och! — jękła pani konsyliarzowa, wyrzucając gwałtownie wykrzyknik ten z silnej swej krtani. — Coś ty Emka narobiła, żeby ciebie dyabeł wziął!...

— Ładny chłopiec! chcesz powiedzieć mateczko — odparła z przytomnością panna Ema.

Konsyliarz cichutko i pomaleńku wpłynął na uspokojenie swej połowicy, no, i wkrótce powróciły do zwykłej równowagi nerwy pani konsyliarzowej i szklanki na stole, które z powodu silnego fiknięcia nogami p. konsyliarzowej w wielkiem znalazły się poruszeniu.

Wiedziałem dobrze o tem, że p. konsyliarzowa jest przeciwną wycieczkom konsyliarza z rusznicą. Niechcąc zatem narazić sobie kobieciny sążnistej urody i takiej samej energii co siły, w niemałej byłem kolizyi co począć, czy wywołać gniew p. konsyliarzowej czy poczciwego konsyliarza, nie biorąc go na polowanie. Bijąc się tak z myślami, wyszedłem z konsyliarzem do jego pokoju, ale że ściany i tu nie stanowiły przeszkody dla uszu p. konsyliarzowej, nie mogłem zaproszenia mego wypowiedzieć. Zauważałem przytem, że konsyliarz domyśla się, iż polowanie mam na języku, a przecież obawiał się, bym nie zaczął mówić. Nie dał mi wprost przyjść do słowa widocznie zaambarasowany; poznałem w końcu o co mu chodzi, więc zabawiwszy jeszcze chwilkę, żegnam wszystkich i proponuję konsyliarzowi, żeby mnie kawałek odprowadził. Poczciwy konsyliarz już cisnął czapkę w garści i oświadczył, że właśnie to samo miał na myśli.

Wyszliśmy.

Konsyliarz rozpoczął od usprawiedliwiania swej magnifiki.

To bardzo poczciwa kobieta — mówi — ale jak każdy człowiek ma swoje „ale"; przy swojem prędkiem usposobieniu, z troskliwości o mnie, nie lubi żebym polował; obawia się jakiego wypadku, nieszczęścia z rusznicą, więc nie ma innej rady, tylko muszę się ukradkiem na polowania wymykać.

— A to i ja w niemałej jestem kolizyi — rzeknę, — Chciałbym nieraz z konsyliarzem zapolować, a jednak nie radbym się pani dobrodziejce narazić...

— Ah! — odpowie konsyliarz — pan masz u mojej żony wielkie względy, ale słuszna uwaga. Na co mamy poczciwą kobietę nie potrzebnie drażnić? Musimy temu zapobiedz i wynaleść jakiś sposób porozumienia się...

Rada w radę uradziliśmy tak, że jeślibym miał dnia następnego gdzieś na polowanie jechać, w takim razie mam mówić, że byłem tam wczoraj na polowaniu, a gdybym za dwa lub trzy dni miał w projekcie polowania, to będę mówił, że dwa albo trzy dni temu byłem tam a tam na polowaniu. Gdyby zaś konsyliarz dnia tego nie mógł ze mną jechać, to był obowiązany tak skierować rozmowę, aby oświadczyć, że dwa albo trzy dni temu był proszonym na polowanie, ale nie mógł się stawić. To oznaczać miało, że dopiero za dwa albo trzy dni mógłby pójść ze mną.

W taki sposób ułożyliśmy sobie cygańsko-myśliwski język, w którym już bez żadnej trudności umawialiśmy się o polowaniu w obecności pani konsyliarzowej. I konsyliarz wymykał się coraz częściej, choć swoją drogą za powrotem do domu, każdą razą srodze to odpokutował, ale jak sam mawiał, tak się już do tego przyzwyczaił, że zdawało mu się, iż to w swoim rodzaju emocya, niezbędna po każdem polowaniu. Ja także unikałem, jak grzechu, wygadania się kiedykolwiek przed konsyliarzową, że wspólnie z konsyliarzem polowałem.

Pewnego razu, późną jesienią, na szarem jeszcze polu, obydwaj z konsyliarzem byliśmy na proszonem polowaniu z gończakami, jak to podówczas zazwyczaj polowano. Stary leśniczy, prowadząc nas linią, która przecinała sporo większych i mniejszych deberek, wskazał każdemu stanowisko, sam zaś podążył najdalej. Na dany sygnał podłożono z przeciwnej strony pieski i puszczono je ze sfór. Długośmy stali, nim dało się słyszyć pierwsze psów granie, gon zbliżał się co raz to bliżej, każden z nas cisnął rusznicę w ręku, a wzrok biegał to w tę, to w ową stronę, w miarę zbliżania się gonu. Jedni tracili nadzieję, drudzy zaostrzali baczność, czekając, rychło li przyjdą do strzału. Każdy natężył słuch, czekając kiedy jęknie rusznica i zawtóruje jej szczęśliwy wybraniec Diany: „Na upadł! Na upadł! Na ho! ho! ho ho! pieski, leży!!".

Lecz cóż to u licha! Psy przeszły linię strzelców, odsadziły się już daleko poza myśliwych, a nikt nie strzelił. Stoimy wszyscy na stanowiskach, psy poszły światami i uszu dochodzi już tylko coraz to słabsze psów granie. Czy jeszcze obrócą? A może kto u licha przepuścił zwierza przez linię? Jeden drugiego pyta na stanowiskach, a w tem odezwał się i basowy głos starego leśniczego:

— Ho ho! kto przepuścił lisa? Już dyabli wzięli całe polowanie!

Powtarzając tę skargę szedł leśniczy od stanowiska do stanowiska, już i mnie minął, aż zatrzymał się na stanowisku konsyliarza.

— Aha! To pan przepuścił lisa! — rzecze.

Nic na to konsyliarz nie odpowiedział, bo go na stanowisku nie było.

— A co? — pyta stary wyciągnąwszy się jak struna i wydając brzuch naprzód — psy przeszły tą deberką, widziałem, a czemu pan nie strzelał?

Konsyliarz spieszy zasapany ku leśniczemu i mówi:

— Źle zrobiłem! źle zrobiłem! Zdawało mi się, że nad tamtą deberką będzie lepiej stanąć, zmieniłem stanowisko, a tymczasem lis przeszedł tędy. Zobaczyłem go dopiero, gdy był już daleko w lesie... Źle zrobiłem, żałuję, że nie stałem, gdzie mnie pan postawił...

— Ho! ho! — zahuczał leśniczy — sforami mosanie konsyliarzu! Polowanie na dziś przepadło, lis poprowadził psy światami w obce lasy, tam pójdzie do jam, a psy trafią zająca i będą tłuc się z nim w cudzych lasach, że nawet gonu nie usłyszymy... Oho, po polowaniu! Sforami konsyliarzu, jak Boga miłuję, sforami! Hej Jurku, a jesteś? Hej, jak mi Bóg miły, sforami! A mówiłem konsyliarzu pilnować tu lisa!

I tak grzmiał stary bez ustanku, a biedny konsyliarz tłumaczył się jak mógł, przyznając ciągle:

— Źle zrobiłem! źle zrobiłem!

Tymczasem cała gromadka myśliwych zeszła się i okoliła starego leśniczego i konsyliarza.

— O, sforami, sforami! — wtóruje każdy leśniczemu.

— Jak mi Bóg miły, sforami! — grzmi zapalając się stary— Hej Jurku, a gdzie ty?

I tak śmiech i okrzyk „Sforami! Sforami!" rozlega się w kółku myśliwych i ginie gdzieś w dali pośród drzew jak psów granie.

Stary leśniczy, wyprężywszy się jeszcze sztywniej, począł już na seryo nawoływać Jurka ze sforami i wkrótce za-

czął się z debry wysuwać łeb a wreszcie sążnista, barczysta postać Jurka z zawieszonemi przez ramię i pod pachę związanemi sforami.

— Także leziesz jak rak! — zagrzmiał stary — dawaj tu sfory! Jak mi Bóg miły, nie ustąpię... Już po polowaniu na dziś! Ho! ho! sforami konsyliarzu...

I znowu zawtórowano w okół ze śmiechem: „Sforami!“

Jurko jął rozwiązywać sfory, pobrzękując żelaznemi kółkami, i wszyscy spoglądali na konsyliarza, który z wyrazem uśmiechu na twarzy ale przecież bardzo skonfondowany rzucał w koło wzrokiem niedowierzającym, a w miarę jak Jurko kończył sfory rozplątywać, błagalnie już na towarzyszy jął spoglądać.

— Jak mi Bóg miły, nie ustąpię! — zagrzmiał jeszcze raz stary leśniczy trzymając już sfory w ręku, a w okół znów śmiech i wołanie: „Sforami! sforami!“ — Stary zatoczył w koło rękami, myśliwi się rozstąpili, otaczając miejsce egzekucyi, a stary położył jedną sforę na ziemi, drugą zaś chwycił w rękę.

— To dywan — rzecze, wskazując na leżącą sforę na ziemi — a teraz wybieraj konsyliarzu, dobrowolnie, albo cię Jurko położy.

Konsyliarz jeszcze się niby śmieje, ale już ciężko zaambarasowany i nie wie co począć, podczas gdy sążnisty Jurko maca się rękami po udach, jakby czuł świerzb i nie spuszcza z oka konsyliarza, a czytać mu w spojrzeniu, że już zmierzył i zważył siłę delinkwenta i pewny siebie, czeka tylko rozkazu.

Stary leśniczy, gotuje się także do spełnienia wyroku; zsunął czapkę na tył głowy, torbę przerzucił na plecy i okręca sforę na ręku.

Nastała ciężka chwila oczekiwania. Żal mi się bardzo zrobiło konsyliarza, ale widzę, że nic mu pomódz nie mogę, bom najmłodszy w towarzystwie i nikt mnie nie posłucha. Już stary dawał znak sążnistemu Jurkowi, gdy wtem jeden z starszych myśliwych, poskramiając wrzawę i śmiech innych, w te się ozwał słowa:

— Panowie! pozwólcie postawić wniosek pośredniczący.

Zapanowało milczenie i wszyscy zwrócili uwagę na wnioskodawcę.

— Proponuję, niech konsyliarz się okupi!

— Jak to? — posypały się głosy na poły protestujące.

— Proponuję — ciągnął wnioskodawca — aby postawił dziesięć butelek wina i dał uczciwe śniadanie na najbliższem polowaniu, a prócz tego ma wykupić sfory Jurkowi.

— Zgoda! — krzyknięto — dziesięć butelek wina i uczciwe śniadanie.

Stary leśniczy spuścił rękę w dół, lecz mierzył ciągle konsyliarza groźnym wzrokiem z pod swych brwi krzaczystych i nie wyrzekł ani słowa.

— I ja o to proszę — ozwał się wreszcie sam konsyliarz — i wyrokowi towarzyszy się poddaję.

— Siła przed prawem! Większość decyduje — odezwał się stłumionym głosem stary leśniczy. — A więc kto jest za okupem?

— Wszyscy! wszyscy! — posypały się w okół głosy.

— A zatem dziesięć butelek wina, uczciwe śniadanie, i wykupi sfory Jurkowi — zakonkludował stary leśniczy, poczem rzucił sfory na ziemię i obie nastąpił nogą.

Konsyliarz sięgnął do kieszeni i wcisnął Jurkowi guldena do łapy.

— Winczuju panu konsyliarzowi zdrowiom taj długim życiom — rzekł Jurko, kłaniając do kolan — taj szczoby to się więcej nie przytrafiało, a o sfory proszę.

Po tej oracyi Jurka schylił się konsyliarz po sfory, dobył je z pod nogi leśniczego i wręczył Jurkowi.

Posypały się oracye ze wszech stron na cześć konsyliarza, dobyto manierek i zapito sprawę, przyczem oznaczono przyszłe polowanie na sobotę raniutko.

— A teraz — zakomenderował stary leśniczy — rozłożyć się wzdłuż linii o 200 kroków jeden od drugiego i będziemy ciągnęli pod psy, a komu się po drodze trafi zając, to go zając.

Zastósowano się do komendy i podążyliśmy lasem. Jurko szedł flanką, nawołując od czasu do czasu psy i konsyliarzowi posłużyło szczęście, bo zabił aż dwa zające.

Był to dzień wtorkowy. Następnych dni konsyliarz znosił do mnie to flaszki, to jakieś pakuneczki, prosząc o przechowanie do soboty. W piątek zjawił się jeszcze z resztą flaszek i prosił, bym nazajutrz rano przyszedł do niego, skąd razem wrócimy do mego pomieszkania i stąd podążymy furą na plac zboru do kniei.

Raniutko w sobotę zjawiłem się u konsyliarza. Konsyliarz wstał z łóżka i zaczął się ubierać z wielkim pospiechem. Widząc to mówię:

— Nie spieszcie się tak konsyliarzu! Mamy dość czasu.

— Ej! — odparł konsyliarz — mnie trzeba prędzej wstać niż wszystkim...

Chlupnął kilka razy wody na twarz, wciągnął surdut na siebie, i gotów pobiegł do pokoju, w którym połowica jego jeszcze nocowała w wygodnej pościeli, zapełniając sobą całe łóżko.

— Proszę cię, duszko, gdzie klucz od spiżarni? — zagadnął konsyliarz.

— A na co ci? — odparła konsyliarzowa rozespana.

— Potrzebuję trochę kłaków do strzelby.

Pani konsyliarzowa posypała słowami jak z worka, lecz potem nastąpiła cichsza rozmowa i wkrótce wyszedł konsyliarz uśmiechnięty z kluczami.

— Niech pan krząka i głośno chodzi — rzekł do mnie — ażeby nie skorciło kogo wyjść. Ja muszę pójść do spiżarni, bo potrzeba chleba, masła i co się tam jeszcze znajdzie.

Konsyliarz poszedł, ja zaś zacząłem wielkiemi krokami przechadzać się po pokoju i krząkałem co chwila, dając znać o sobie, trapiło mnie jednak nieprzyjemne uczucie, bo mi się zdało słyszeć ukradkowe stąpania w sypialni pani konsyliarzowej, więc odwracałem się co chwila i silniej krząkałem. Tymczasem konsyliarz obławiał się w spiżarni z pospiechem i wkrótce powrócił opakowany jak juczne zwierzę, poskładał tłumoczki, to na krześle to na łóżku i biegł oddać klucze swej połowicy.

— Konsyliarzu! — zawołałem półgłosem — pełno masła na ręce...

Konsyliarz stanął, spojrzał na rękę, i nie mogąc słowa wyjęknąć, chwycił ręcznik, otarł rękę i zaniósł klucze. Wracając obrócił się jeszcze w progu i rzekł:

— Na obiad będę z powrotem; bo ja tak tylko troszka... Jeżeliby mię kto potrzebował, powiedz duszko, że zaraz wrócę... a furę zatrzymać... długo bawić nie będę,.. idę bez śniadania — i zamknął drzwi za sobą, chwycił torbę i strzelbę, opakował się węzełkami, wetknął i mnie jakieś flaszki z wódką i jakiś węzełek... I wybiegliśmy z chałupy rozpuszczając nogi, jak gdyby kto za nami gonił.

Nim chłopak konie założył, rozdmuchałem samowar, i poczęstowałem konsyliarza u siebie herbatą, poczem wsiedliśmy na wóz i szczęśliwi pogonili na plac zboru.

Polowanie dnia tego było więcej wesołe niż dobre, nawet Jurko występywał z oracyami. Późną nocą powracaliśmy do domu. Nie zbierała mnie wcale ochota wstąpić tego wieczora do konsyliarza, i nawet namówić się nie dałem, wiedząc, że konsyliarz pozostawił po sobie ślady w spiżarni, które nie mogły ujść oka p. konsyliarzowej. Dłuższy czas nie pokazywałem się u państwa konsyliarzostwa, a ile razy ochota mię zebrała podziwiać wdzięki panny Emci, reflektowałem się i szeptałem: „Nie głupim!“

Nie długo też polowałem już z poczciwym konsyliarzem. Los cygański rzucił mną o sporą staję świata. A choć konsyliarz długo polował jeszcze, nim zabrał się w lepszą krainę, nie spotkałem się z nim więcej, i tylko mi zostało wspomnienie, jak mężnie umiał zwalczać przeszkody w wykonywaniu służby św. Huberta. *Ago.*

Z OBCYCH ŚWIATÓW.

Przez czarny ląd.

IV.

Dnia 19. listopada dotarła karawana Teleki'ego do Njemsz. Wspaniały tam teren do polowań; doliny, skały, pustynie, lasy i bagniska, złączone przez przyrodę w uroczą, choć zarazem i dziką całość, zacisznem są schroniskiem, zasobną szafarnią i przestronną bawialnią dla najróżnorodniejszych zwierząt. Nie mało też wrażeń potężnych doznał i nie mało łupów myśliwskich zdobył tam Teleki. Dnia 29. listopada potykał się nawet ze słoniami. Oto relacya jego o tej ciekawej wyprawie.

„Szliśmy ku północnemu zachodowi, bo chciałem odnaleść obszary, w których J. Thomson w r. 1883 na słonie polował. Pierwszy dzień zaczął się źle — dwie tylko pantarki stały się mą zdobyczą. Na drugi dzień już mi się nieco lepiej powodziło. Zabiłem krokodyla i widziałem dwa bawoły, które przez bujną gęstwinę trzcin umykały. Broń moja nie była do strzału na bawoły przydatna. Towarzysz mój Mohamet Seiff pobiegł do obozu, aby mi przynieść sztuciec ekspresowy, ja tymczasem puściłem się w ślad za bawołami, aby ich z oczu nie stracić. Wtem nagle, wśród zarośli trzcinowych natknąłem się na byka, który na szczęście spał tak twardo, że mogłem się niespostrzeżony i nieatakowany wymknąć. Wreszcie przyniesiono mi sztuciec, a z nim razem przybyło i kilku ludzi. Przy pomocy ich urządziłem nagonkę w trzcinach, lecz bezskutecznie, gdyż bawoły rozpierzchły się na wszystkie strony. Nieco później ubiłem nosorożca, a drugiego raniłem.

Następnego poranku wysłałem kilku ludzi, których jeszcze Thomson na wyprawie swej używał, ażeby wyszukali jakie dogodne na obóz miejsce w tych okolicach, gdzie on na słonie polował. Sam tymczasem, włócząc się ze strzelbą, ubiłem jeszcze jednego nosorożca, zebrę, antylopę Bejza i trzy gazele (Grantii). Gazele te były w letniej sierci, która od zimowej różni się tem, że jest znacznie jaśniejszą i ma na bokach i wzdłuż skoków rozmaite czarne pręgi, które pod zimę całkiem giną.

Doniesiono mi, że w okolicy, gdzie kazałem obóz rozłożyć, nie ma wprawdzie wody, ale jest sporo zwierzyny. Wyruszyłem więc nazajutrz, i ciągnąłem wzdłuż wschodnich brzegów jeziora Baringo, odłamem wyżyny Leikipia, aż do suchego koryta strumienia Mogodeni. Tu w pięknym gaju rozbiliśmy obóz. Wodę musieliśmy donosić z jeziora Baringo, które było o godzinę drogi odległe.

Na płaskiem, piaszczystem wybrzeżu uwijało się tu mnóstwo zeber i antylop Bejza, ale dla braku zarośli i drzew niepodobna ich było podejść, tak, iż wcale tego nie próbowałem. Zwróciłem się natomiast ku wschodowi, między stepowe trawy i tu i owdzie rozsiane klomby krzewów. Nasunął się tu naprzód pod strzał nosorożec. Pierwszą kulą trafiłem go w łopatkę, drugą złamałem mu kość pacierzową.

Następnie dostałem się w gęstwinę, gdzie zrazu nic się nie pojawiało, lecz wkrótce ujrzałem dwa kozły antylopy Kudu, które natychmiast pomknęły. Antylopy Kudu są tu rzadkością, puściłem się więc za niemi, gdy wtem zatrzymał mnie widok wcale niespodziewany. Były to trzy lwy w odległości niespełna 15 kroków. Lew i jedna lwica siedziały jak psy na zadzie i tylnych łapach, podczas gdy druga lwica leżała bokiem wśród traw. Przez sekundę zwróciły swój wzrok zdziwiony ku mnie, lecz to właśnie wystarczyło, ażebym się zmierzył i strzelił.

Padł strzał — trafiłem siedzącą lwicę — gdy jednak dym się rozszedł, nie było jej, uszła wraz z drugą mimo ciężkiego postrzału. Co rychlej podążyliśmy za farbą. Pogoń była nie łatwa. Wysoka trawa i zarośla utrudniały i czyniły niebezpiecznem poszukiwanie. Przestrzegałem też moich ludzi by byli ostrożni, gdyśmy doszli do miejsca, gdzie wedle mego przypuszczenia, osłabiona upływem krwi lwica zaległa. W istocie tak było. Ujrzeliśmy ją wkrótce z głową zniżoną między przednie łapy, gotową do skoku. Nie było wiele czasu do namysłu. Strzeliłem, celując między oczy. Lwica zatoczyła się i zwolna, rycząc przejmująco, zaczęła się cofać. Strzeliłem drugi raz, kula przeszyła wnętrzności, i lwica padła, a gdy bezsilnie biła łapami w około, dobiłem ją trzecim strzałem w głowę. Sprawdziłem następnie, że pierwsza moja kula, uderzywszy powyżej oka,ześliznęła się po kości i rozpruła jedynia skórę na 20 centymetrów.

Dnia 3. grudnia polowałem przez trzy godziny wzdłuż łożyska Mogodeni, nie natrafiwszy nigdzie na wodę. Mimo to dość było tu zwierza, tak, iż ubiłem nosorożca, dwie zebry i antylopę łosiowatą. Dnia następnego przeszkadzał mi bardzo wiatr w łowach, to też położyłem tylko jedną antylopę Bejza, żbika i trzy pantarki.

Dnia 5. grudnia spotkaliśmy krajowców, którzy nam powiedzieli, że w górnej części łożyska Mogodeni natrafimyna wodę, i że tam przebywają słonie. Wyruszyliśmy natychmiast i rozbiliśmy obóz w pobliżu moczaru, utworzonego

z wód rozlewającej się rzeki. Dostaliśmy się tam krótszą drogą przez góry, po grubym ostrym żwirze, i byliśmy też bardzo znużeni. Po drodze ubiłem trzy nosorożce i dwie antylopy łosiowate.

Nad moczarem spostrzegliśmy ślady, iż krótko przed nami, posiłkując się wypalaniem rosnącego tu sitowia, polował już ktoś na słonie. Spotkaliśmy też niebawem 30 krajowców, którzy ubili trzy słonie z trzody dziewięć sztuk liczącej, która uszła w góry. Nie było mowy o pościgu tych słoni, mimo to wybrałem się za niemi i wkrótce dostałem się do przepaścistego parowu, skąd Mogodeni wypływa. Podziwialiśmy tu malownicze partye skał i jary, porośnięte drzewiastemi euforbiami, lecz musieliśmy się wrócić, nie dawszy ani strzału do słoni.

Dnia 7. grudnia postanowiłem wracać do Njemsz. Obraliśmy najkrótszą drogę przez góry, aby corychlej dotrzeć nad brzegi Guasso Bolio, gdzieśmy dwa dni obozowali. Podczas marszu miałem dwa razy sposobność strzelać do nosorożców; pierwszym razem ujrzałem przed sobą trzy sztuki, z których dwie padły na *coup double*, podczas gdy trzecia umknęła.

Gdyśmy dotarli do krańca wyżyny, spostrzegłem jeszcze jednego nosorożca, pionowo, tuż podemną w dolinie. Jednym strzałem w pacierz położyłem go na miejscu. Tu ujrzałem i ubiłem po raz pierwszy rodzaj antylopy, podobnej kształtem do kozicy, ciemno-brunatnej, o sierci gęstej, jak sarna, w żółte i ciemne centki. Tu także zauważyłem po raz pierwszy hyeny, gnieżdżące się gromadnie, tak jednakże, iż każda z nich wygrzebywała sobie w opoczystej ziemi jamę, bardzo ciekawie zbudowaną, bo mającą prócz szczeliny wchodowej także mały otwór do wyzierania i czuwania“.

W dolinie Guasso Njuki dzikiej, pustej, bo zaledwie po brzegach rzeki nieco bujniejszą trawą zarośniętej, zetknęli się podróżnicy nasi z kupiecką karawaną, która wracała do Pangani. Zabrano się tedy do pisania, a że myśliwi lepiej władają bronią niż piórem, nie mało im to trudu zrobiło i dużo czasu zabrało, zwłaszcza, że korespondencya bardzo była zaległą.

„Lecz wśród tej pisaniny — opowiada Höhnel — i strzelba nie leżała odłogiem. Zaraz po założeniu obozowiska — właśnie siedzieliśmy przy śniadaniu — zbliżyła się godowa para nosorożców aż pod obóz. Padły tam gdzie stały. Samica, do której naprzód strzeliłem, i która postrzałem w krzyże sparaliżowaną została, usiadła jak pies na zadzie a wydając kwik przeraźliwy, podobny do kwiczenia świni, gdy ją zarzynają, tak szybko w kółko się kręciła, że nie wnet udało mi się posłać jej drugą kulę w komorę“.

Na drugi dzień rozglądnęli się nasi podróżni nieco w okolicy i uderzeni zostali niesłychanem bogactwem zwierząt łownych, które gołem okiem widzieli z najwyższego wzgórza, gdzie się dla kartograficznych robót zatrzymali. Grunt był tu i owdzie nagi, skalisty, gdzieindziej okryty trawą stepową, lub szarawemi, srebrzysto lśniącemi krzewami. Wśród tych traw i krzewów naliczył Höhnel ośm stad bawołów, każde z kilkuset sztuk złożone, a między niemi stadka zeber, nosorożców, antylop, dzików, gazeli, strusiów itd. w takiej mnogości, że widokiem tym nie można było dość wzroku napaść.

„Najbliżej wzgórza, gdzie stałem — opowiada Höhnel — pasło się przez kilka godzin stado bawołów. Z ciekawością badałem je przez lornetę. Brzydkie to i niezgrabne zwierzęta. Starsze okazy były prawie całkiem nagie, bez sierci, jużto czarne, jużto brunatne albo ceglaste, stosownie do tego, w jak zabarwionem bagnisku chlapały się ostatnim razem. Stosunkowo mała głowa, osadzona na krótkiej, szerokiej a bezgrzywnej szyi, uzbrojona jest w potężne rogi, które na całe czoło się rozszerzają, od szkodliwości strzału je ubezpieczając. Krowa ma zazwyczaj dłuższe, cieńsze i okazalsze rogi niż byk. Jeśli się wśród stada wyszuka okaz o pięknych rogach, aby go ubić, można iść o zakład, że to będzie krowa. Nam się tak zazwyczaj zdarzało.

Głowa, którą bawół zwykle zwiesza na dół i tylko przy bacznem wietrzeniu naprzód wyciąga, kiwa się w pocieszny sposób tam i nazad w czasie chodu lub biegu. Bawoły, któreśmy tu spotkali, należały wyłącznie do rodzaju *Bos caffer*.

Na pozór drzemiące i leniwe postępowały te zwierzęta naprzód spasając trawę, a chwilami kładły się jak swojskie krowy, aby pokarm przeżuwać. W ciągu tego stały jednak inne na straży, a zwłaszcza stare, doświadczone byki. I gdy tylko który z nich odezwał się swym krótkim, szkaradnym rykiem, to całe stado było już na nogach, aby się wkrótce uspokoić i w poprzednią ospałość popaść, lub wśród tumanów kurzu zniknąć z horyzontu. Powtarzało się to co chwila, siesta poobiedna ciągle była niepokojoną, choć nie wiem, co dawało do tego powód.

Inne stado chciało przejść przez potok, lecz nie mogło się na to odważyć, prawdopodobnie dlatego, że w dniu poprzednim przechodził w tem samem miejscu hr. Teleki. Dopiero po dłuższem badaniu, wietrzeniu i porykiwaniu, zeszedł jeden z bawołów aż na brzeg potoku, lecz nawrócił zaraz w dzikim popłochu. Zaalarmowane tem, jęło całe stado wietrzyć na wszystkie strony, lecz po chwili uspokoiło się, znowu zabierało się do przeprawy, i w końcu po kilkokrotnych zbliżaniach i cofaniach odważyły się na nią.

Inny obraz przedstawiały nosorożcy. Jak gdyby z kamienia wykute stały one całemi godzinami bez ruchu po nad kałużami wody deszczowej. Parę kroków naprzód lub w tył, to był cały spacer, na który się te ociężałe kolosy umiały zdobyć. Powodem tego niepokoju były zazwyczaj pawiaste żurawie, które się tu i owdzie z przerażającym hałasem zrywały“.

Bawoły w całych stadach nie są niebezpieczne, można i dość blisko stada przechodzić nie narażając się na napad. Co innego jeśli się spotka pojedyńczego byka, lub cielną krowę, albo co gorsza, jeśli się je ze snu ruszy. Doznał tego i hr. Teleki, gdy na niego dwa oddzielnie pasące się byki napadły. Dla własnej obrony musiał się uciec do ekspresa (cal. 577); jednego ugodził w gardziel, drugiego w komorę, tak szczęśliwie, że oba byki, zataczając się, już po kilku krokach padły na ziemię. Lecz jeden z nich potrzebował jeszcze dalszych trzech kul nim zginął. Są to jednak szczęśliwe wypadki, jeśli się bawoły w ten sposób pojedynczemi strzałami zmiata; polowanie na tego zwierza należy w ogóle do najniebezpieczniejszych. Dość powiedzieć, że hr. Teleki w czasie od 19. stycznia do 2. lutego 1888 był ośm razy przez postrzelone bawoły i nosorożce atakowany i nieraz życie jego wisiało tylko na włosku.

Dnia następnego ubił Teleki, również koniecznością zniewolony, samicę nosorożca i małe jej prosię. Nasi podróżni żywili się dotychczas zebrami, antylopami i bawołami, ale nie kosztowali jeszcze mięsa nosorożców. Otóż prosię to poszło teraz na stół i okazało się specyałem. Mięso jego było miękkie, delikatne, tłuste, bez żadnej ostrej woni i najbardziej w smaku do zwykłej wołowiny zbliżone.

Pożywienie karawany składało się w ogóle z samego prawie mięsa. Chleba, lub jakiegoś zbliżonego doń mącznego jadła nie było wcale. Raz tylko na dzień jadano kaszę jaglaną, lub mączne potrawy z ziarn rośliny trawiastej, zwanej Durcha lub z Eleuziny.

Mięso bawołów jest twarde, łykowate i ma ostry, do piżma zbliżony zapach. Najdelikatniejszym jest jeszcze ozór bawołów, a przecież trzeba go cztery do sześć godzin dynstować, ażeby nie był podobny do gumelastyki. Mostki po dwunasto- do ośmnasto-godzinnem gotowaniu są miękkie i smaczne.



Z ŻYCIA RYB WĘDROWNYCH.

Z życia dwóch naszych najważniejszych i najcenniejszych ryb wędrownych, łososia i węgorza, podaje „Okólnik 7“ krajowego Towarzystwa rybackiego w Krakowie następujące szczegóły:

Życie łososia (*Salmo salar*) obejmuje dwa okresy, z których jeden przepędza on w morzu, drugi w wodzie słodkiej. Łososie poławiane w rzekach Austryi dostają się tam z morza Niemieckiego i Bałtyku przez Łabę i Wisłę i podchodzą z Łaby daleko w górę Mołdawy, z Wisły zaś szczególniej do Sanu, Dunajca, Soły i Skawy. Brak ich natomiast zupełnie w zlewisku morza Czarnego, do którego uchodzą Dniestr, Styr przez Prypeć i Dniepr, a Prut z Czeremoszem przez Dunaj.

Ojczyzny właściwej łosoś nie ma wcale; miejscem jego rodzinnem są wody górskich potoków, a szczególniej miejsca z dnem piaszczystem lub żwirowatem i czystą spokojną wodą. Według obserwacyj Weitha, łososie mają mieć największe upodobanie w wodach, które w wielkiej ilości zawierają kwas węglowy i rozpuszczone wapno. Zdaje się jednak, że spostrzeżenie to odnosi się tylko do potoków z wodą szybko płynącą, gdyż w wodzie spokojnej osady, tworzące się wskutek strącenia wapna, działają niekorzystnie na rozwój ikry. Im woda czyściejsza, a bieg jej jednostajniejszy, tem chętniej składa w niej łosoś ikrę. Tarło odbywa się w naszym kraju od października do grudnia. Ikra zapłodniona, złożona pod cienką warstwą piasku lub żwiru, potrzebuje długiego bardzo czasu do zupełnego rozwoju, a czas ten zawisły jest od temperatury wody w tem znaczeniu, że, im cieplejsza woda, tem prędzej lęgną się młode, im zimniejsza, tem dłużej trwa rozwój. W ciągu tego czasu potrzebują zamknięte w skorupie jaja zarodki podostatkiem tlenu do oddechania, czem się też tłumaczy, dlaczego ikra głęboko w piasku zagrzebana ginie, a również marnieje w wodzie stojącej, gdzie osady z wody strącone powlekają jajo i tamują przystęp powietrza.

Po upływie 3—4 miesięcy od chwili złożenia ikry, lęgną się młode łososięta, nieudolne, ciężkie stworzenia, które przez kilka tygodni żadnego pokarmu nie przyjmują, żyjąc zasobami, w jakie je natura na dni niemowlęctwa zaopatrzyła w postaci t. zw. pęcherzyka żółtkowego, zawieszonego po brzusznej stronie rybki. Z chwilą, kiedy żółtko zawarte w pęcherzyku zostanie spotrzebowane, wybierają się młode łososięta na wyprawę za zdobyczą. W pierwszych tygodniach znajdują jej podostatkiem w najbliższej okolicy swej rodzinnej siedziby pod postacią drobnych skorupiaków, robaków, gąsienic, owadów etc., później wyszukują miejsca obfitsze w żer w miarę wzrostu i potrzeby. Zazwyczaj przebywają w górskich potokach do pierwszej powodzi, która je następnie unosi ze sobą ku dolnemu biegowi potoków, gdzie woda spokojniej płynie, a dno muliste, zawierając więcej organicznych substancyj, sprzyja rozwojowi tych istot, które stanowią pokarm młodego łososia. W tym okresie życia zachowują się młode łososięta zupełnie tak samo jak pstrągi, od których je nawet trudno odróżnić.

W wodzie słodkiej przebywają przez jeden do dwu lat i rosną w tym czasie stosunkowo bardzo powolnie, tak, że rzadko dochodzą większej długości jak 30 ctm. Niektóre pozostają dłużej w rzekach śródkrajowych, a nawet mają dojrzewać tu płciowo nie odwiedzając wcale morza. Zjawisko to należy jednak zaliczyć do bardzo rzadkich wyjątków, gdyż z reguły potrzebny jest dłuższy lub krótszy pobyt w morzu, aby łosoś należycie się rozwinął i wyrósł. W ciągu drugiego roku pobytu w rzekach obudza się w łososiu popęd do wędrówki. Ciągną one wtedy całemi gromadami, ku morzu płynąc za prądem rzeki i zatrzymują się dopiero przy ujściu, gdzie dłuższy czas przebywają prawdopodobnie dla przystosowania się powolnego do słonej wody morskiej. W tem miejscu grożą łososiom liczne niebezpieczeństwa, szczególniej od rybaków, którzy łowiąc drobne rybki jako ponętę do połowu ryb większych, nie oszczędzają i młodych łososi i niszczą je tysiącami. Dopiero po upływie pewnego czasu wchodzą łososięta do morza i znikają w jego głębiach, aby po kilku miesiącach, niekiedy po roku lub nawet kilku latach pojawić się znowu u ujścia tej rzeki, z której do morza się dostały, jako okazałe i silne ryby.

O życiu łososia w morzu mało mamy wiadomości mimo to, że rybę tak cenną usiłowano i w tym okresie jej życia obserwować. Co do okolicy i miejsca, w którem łososie w morzu przebywają, zdania są podzielone. Jedni przypuszczają, że łososie w pogoni za żerem zapuszczają się daleko w głąb morza i oddalają się na wielkie przestrzenie od ujścia rzeki rodzinnej. Tak n. p. spostrzegano łososie, wylęgłe w rzekach północnej Szwecyi, na żerowiskach pruskich wybrzeży Bałtyku, a na wybrzeżach Anglii chwytano łososie ze szkockiej rzeki Tweed. Jakkolwiek jest rzeczą prawdopodobną, że poszczególne żwawsze osobniki zapędzić się mogą w odległe strony, szukając obfitego pokarmu, to jednak zdaje się, że większa część nie oddala się zbyt od ojczystych brzegów, lecz w ich bliskości wyszukuje głębie, na których poluje z niepohamowaną żarłocznością na zdobycz. Przypuszczenie to tłómaczy zjawisko, stwierdzone kilkakrotnie z całą pewnością, że łososie powracają z reguły do tych samych rzek, w których się wylęgły i kilkakrotnie obierają rok po roku te same tarliska.

Dla sprawdzenia tego ciekawego zjawiska, znaczono w Anglii łososie, ciągnące do morza, obcinając im pletewkę tłuszczową lub przewlekając przez pletwy pierścienie metalowe. Takie znaczone ryby spostrzegano zazwyczaj już w roku

nastęnym, dążące z powrotem do swych dorocznych tarlisk. Na tem spostrzeżeniu opiera się teorya zarybiania rzek źródłowych dorzecza morza Północnego i Bałtyckiego przez wysadzanie do nich narybku łososia, sztucznie wychowanego. Łososie takie u nas wylęgłe, a w morzu kosztem obcym utuczone, powracają napowrót, stanowią zatem niezrównanie pożyteczną i pożądaną zdobycz, tem bardziej, że za powrotem do słodkiej wody żadnego pokarmu w rzekach nie przyjmują. Natomiast używają podostatkiem na bogatych żerowiskach morskich, gdzie ich pokarm stanowią drobne rybki i mięczaki bezskorupne. To też rozwój i wzrost łososi w morzu postępuje przy nadzwyczaj obfitym pokarmie bardzo szybko, jak to spostrzeżono na okazach znaczonych. I tak niektóre z nich, ważące przed pobytem w morzu zaledwie 4 ft., utuczyły się w niem tak szybko, że schwytane po niespełna 2 miesiącach podczas wędrówki powrotnej, ważyły już do 14 ft., miały zatem w tak krótkim czasie 10 ft. przyrostu.

Młode łososie przebywają w morzu prawdopodobnie przez kilka lat, zanim się w nich popęd płciowy objawi, który je na pełną przygód i niebezpieczeństw wędrówkę do rodzinnych źródeł ze spokojnych głębin morskich wywabia. Natomiast starszym rybom, które przybyły z rzek, aby w morzu odżywić się i wypocząć, wystarcza kilka miesięcy do zupełnego odzyskania steranych sił i energii.

I oto zbliża się chwila powrotu do rzek. Zaledwie lody na rzekach pękną, często nawet wcześniej, już w drugiej połowie lutego gromadzą się łososie po 30 – 40 sztuk razem i wstępują w ujścia rzek rodzinnych, przebywają tu czas jakiś jakby dla przyzwyczajenia się do słodkiej wody, poczem rozpoczyna się wędrówka w górę rzeki. Spostrzegano, że ikrzaki wstępują zazwyczaj wcześniej do rzek niż mleczaki, a łososie młodsze w ogóle wcześniej niż stare. Tak jedne, jak drugie są w tej porze najtłuściejsze, mięso ich jędrne, czerwonawe i jako przysmak najwięcej cenione. Pochód otwiera zwykle duży samiec, który prowadzi całą gromadę, trzymając się głównie nurtu rzeki. W wędrówce tej jest łosoś niezmiernie wytrwały i nie ma pzeszkody, którejby nie usiłował przebyć, częstokroć napróżno aż do zupełnego wysilenia. Napotkane w drodze wodospady, katarakty lub jazy usiłuje najpierw przepłynąć, puszczając się z błyskawiczną szybkością naprzód. Gdy mu się to przy kilkakrotnych próbach nie uda, usiłuje przeszkodę przeskoczyć. W tym celu, opierając się ogonem o skałę lub wodę, wygina się w łuk, tworząc z ciała rodzaj elastycznej sprężyny, poczem wyprostowując się nagle, wyrzuca się całą siłą potężnych mięśni w górę. Siła, jaką łosoś przy przerzucaniu się przez przeszkody rozwija, jest prawdziwie zadziwiająca. Znane są przykłady, gdzie łososie przebywały przeszkody, rzucając się ukośnie w górę do wysokości 4 m. Jeżeli pierwszy skok się nie uda, nie ustaje łosoś w wytrwałości, lecz powtarza go raz drugi i trzeci tak długo, aż przeszkodę weźmie lub wysilony zupełnie wypocząć musi. W ogóle upor jego jest w tej mierze bezprzykładny. W wodospadach rzeki Columbii w północnej Ameryce rozbija się corocznie tysiące łososi na ostrych skałach, usiłując napróżno przeskoczyć przeszkodę, tamującą im pochód ku źródłowym potokom tej rzeki, a zaledwie kilka tylko zdoła dotrzeć do celu. To samo dzieje się także na wielu innych miejscach z niepowetowaną szkodą dla rybactwa.

Skoro wszelkie próby przepłynięcia lub przeskoczenia przeszkody pozostaną bez skutku, a wyczerpane siły nie starczą do dalszych usiłowań, wówczas zbierają się łososie w najgłębszem miejscu o ile możności blisko prądu głównego i wyczekują, aż wyższy stan wody umożliwi im przebycie zapory.

Przeszkody naturalne i sztuczne, jakie stają łososiowi w drodze, bywają na niektórych rzekach bardzo liczne, stąd też i wędrówka trwać może bardzo długo i tygodnie nieraz mijają, zanim te ryby, które uniknęły sieci rybackich i innych grożących im na każdym kroku niebezpieczeństw, dostaną się do upragnionego celu podróży.

Tymczasem w ciągu wędrówki rozwijają się i dojrzewają w łososiu narządy płciowe i cała jego postać przeobraża się. Licznemi trudami wyniszczone ciało ryby, chudnie gwałtownie, tem bardziej, że łososie w czasie pobytu w rzekach żadnego pokarmu nie przyjmują, a produkta rozrodcze rozwijają się kosztem mięśni i tłuszczu. Mięso początkowo czerwone, blednie coraz więcej, tłuszcz znika, a na jego miejsce pojawiają się w mięśniach mikroskopijne rombowe kryształki. Natomiast nabiera skóra świetnego ubarwienia — łososie przywdziewają szatę godową. Skóra na grzbiecie i głowie grubieje i barwi się ciemno niebiesko, na srebrzystych bokach występują brunatne plamy, a tu i owdzie pojawiają się czerwone plamki, które u starych samców na głowie spływają, tworząc zygzakowate rysunki. Srebrno-biały brzuch nabiera czerwonawego odcienia, tak samo nasady płetw. U starych samców szczęka dolna wydłuża się w dziób hakowato do góry zagięty, który im przeszkadza często w otwarciu pyska.

Tak zmienione łososie przybywają wreszcie do celu podróży, na swe rodzinne tarliska. Samica wyszukuje płytkie miejsca w potoku wysłane żwirem i obiera najchętniej te, które leżą powyżej bystrego prądu. Silnemi uderzeniami ogona rozrzuca żwir na boki i tworzy w ten sposób płytkie zagłębienie, tak zwaną „jamę tarliskową". Przy jamie zjawia się codziennie rano i wieczorem samica w towarzystwie kilku samców, które staczają ze sobą boje o pierwszeństwo w akcie tarła. Zwycięzca towarzyszy samicy do jamy tarliskowej, gdzie leżą oboje całemi godzinami tak blisko siebie, że jednem uderzeniem dzidy możnaby przebić samca i samicę. W chwili składania ikry samica trze brzuchem o dno jamy i rozpościera w ten sposób ziarna ikry równomiernie na podłożu. Samiec stoi nieruchomo nieco powyżej jamy i wypuszcza mlecz, który uniesiony prądem wody spływa ku ikrze i zapładnia takową.

Proces składania ikry trwa niekiedy kilka tygodni na jednem miejscu, jeżeli ryby są w zupełnym spokoju.

Po odbytem tarle opuszczają łososie tarliska. Są one wtedy do niepoznania zmienione. Wycieńczone zupełnie ze sił, chude, z obwisłym brzuchem, zdają się na łaskę i niełaskę prądu, które je z potoków ku głównej rzecze, a z jej biegiem ku morzu unosi, gdzie ryby, jak powyżej nadmieniliśmy, rychło odzyskują siły i okazałość. W tej porze mięso łososi białe, chude i miękke, jest niesmaczne i małą ma wartość; takich wytartych łososi nie powinno się wcale chwytać.

Pora w jakiej łososie pojawiają się z morza w rzekach śródkrajowych, jest bardzo rozmaita. Zazwyczaj zjawiają się nowi przybysze kilkakrotnie w ciągu roku i to coraz mniejsze okazy. Do Czech n. p., gdzie prof. Frič bardzo szczegółowo badał życie i obyczaje łososi, przybywają one w trzech ciągach, z których pierwszy wstępuje do Mołdawy już w połowie marca, drugi w czerwcu, trzeci zaś we wrześniu. Trą się też one tam bardzo wcześnie, tak że z pierwszym śniegiem znikają wytarte łososie, udając się z powrotem do morza. Według spostrzeżenia Franka Bucklanda wchodzą łoso-

się wcześniej do tych rzek, których dorzecze jest w stosunku do długości rzeki głównej bardzo duże; natomiast późno jawią się w tych rzekach, których dorzecze małą tylko przestrzeń zajmuje. Wielki wpływ ma także na porę wędrówki temperatura wody słodkiej i przybrzeżnej morskiej, to znaczy, że łososie wstępują do rzek dopiero wtedy, gdy się woda do pewnego stopnia ogrzeje. Jeszcze bardziej wpływa temperatura na czas tarła, które w niektórych okolicach, szczególniej tam, gdzie potoki zasila woda z lodowców, odbywa się dopiero w styczniu lub marcu. W naszych wodach trą się łososie tem wcześniej, im zima łagodniejsza.

Jak wspomnieliśmy powyżej, powraca łosoś uparcie na jedno i to same tarlisko przez kilka lat z rzędu. Powstrzymać go mogą od tego i skłonić do odwrotu tylko absolutnie nieprzebyte przeszkody, od których cofa się napowrót ku ujściu, aby w innym dopływie szukać szczęścia. Czyni to jednak dopiero po długim czasie, kiedy wszystkie próby przezwyciężenia przeszkody są bezskuteczne.

Nie brak jednak także awanturników, włóczęgów, którzy zuchwale puszczają się w nieznane rzeki, szukając dogodnych tarlisk. Przybysze tacy są we wszystkich rzekach bardzo pożądani. Tak n. p. w norwegskiej rzece Sire, która przez długie lata niedostępną była dla łososi, pojawiły się one zaraz w pierwszym roku, skoro tylko na wodospadach, tworzących dotychczas nieprzebytą zaporę dla łososi, zbudowano praktyczne przepławki. Widać z tego, jak korzystne są przepławki nawet tam, gdzie łososi wcale nie spostrzegano, ale się ich spodziewać można z uwagi na naturę rzeki i przynależność jej do zlewiska jednego z mórz północy. Tem większe znaczenie mają przepławki w rzekach i potokach odwiedzanych corocznie przez łososie. Jedna samica więcej, która przezwycięży przeszkody i dotrze do tarliska, stanowi dla rzeki wielki nabytek, gdyż z ikry złożonej przez nią przybędzie w latach następnych kilkadziesiąt sztuk łososi.

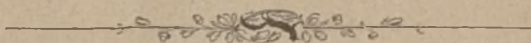
* * *

Drugą wędrowną rybą naszych wód śródkrajowych jest węgorz (*Anguilla fluviatilis*). Ekonomiczne znaczenie tej ryby, zamieszkującej podobnie jak łosoś rzeki należące do zlewiska mórz północnych, jest tem większe, że węgorza można także chować w stawach zamkniętych, gdzie się doskonale darzy i szybko rośnie.

Życie węgorza mało jest dotychczas znane, gdyż rybę tę, spędzającą większą część dnia w kryjówkach, a dopiero w nocy wychodzącą na żer, trudno obserwować. Długi czas nawet, gdyż jeszcze do roku 1874, uchodziły one za obojniaki t. j. stworzenia, będące samcem i samicą w jednym osobniku i dopiero odkrycie osobnych samców przez naszego rodaka Dra Syrskiego, rozjaśniło do pewnego stopnia ciemną kwestyę ich rozrodu. Mimo to wszakże szczegóły odnoszące się do tarła, jego pory i miejsca, dotychczas nie są zbadane. Wiemy tylko, że tarło odbywa się w morzu (więc odwrotnie jak u łososia), prawdopodobnie w zimie i jak przypuszcza prof. Frič w tych miejscach, gdzie są źródła wody słodkiej. Przypuszczenie to jednak jest tylko wyłącznie teoretyczne i nie opiera się na żadnych spostrzeżeniach.

Węgorze w naszych wodach płynących łowione są zawsze samicami, które jednak u nas płciowo nie dojrzewają. Z początkiem lata, niekiedy nawet już na wiosnę, ciągną węgorze ku morzu, obierając do wędrówki szczególniej burzliwe noce, w dzień zaś kryjąc się w norach, w mule itp. Przy ujściu rzek spotykają się z samcami, które są od samic znacznie mniejsze, ledwie 40 ctm. długie, i całe towarzystwo znika w głębinach, skąd osobniki dorosłe więcej do rzek nie powracają i po odbytem tarle prawdopodobnie giną.

W bardzo wczesną wiosnę pojawiają się młode węgorzyki u ujść rzek, ciągnąc na wyrost do wód słodkich. Ponieważ samice węgorza są niezmiernie płodne i produkują po kilka milionów jaj każda, więc też i ilość wylęgłego narybku jest olbrzymia. W nieprzeliczonych tłumach, złożonych z miliardów malutkich 5—12 cm. długich, jak drut cienkich osobników, wstępują węgorzęta do rzek. Samce pozostają przy ujściu, samice zaś ciągną dalej w zbitym szeregu, szerokim i głębokim na kilka a nawet kilkanaście metrów i kilkadziesiąt metrów długim. Ponieważ siły młodych i delikatnych węgorząt są jeszcze bardzo słabe, przeto wędrująca gromada trzyma się zazwyczaj dna i brzegów, gdzie prąd jest mniejszy i pochód ułatwiony. Z początku trwa wędrówka dniem i nocą, później wypoczywają węgorzyki w dzień, kryjąc się w mule, w nocy zaś ciągną dalej. Przy każdem ujściu dopływu tej rzeki, którą węgorze wędrują, rozdziela się żywe pasmo i części jego wstępują do wszystkich potoków, kanałów, młynówek etc. jakie po drodze się znajdują. W ten sposób rozwidlając się na coraz drobniejsze gałązki, maleje pierwotny zastęp, aż wreszcie małe tylko gromadki, a z tych ostatecznie każdy osobnik obiera sobie miejsce stałego pobytu. Węgorzyki ciągnąc rzeką pod wodę wzrastają zwolna, tak, że dostając się do górnego biegu rzek, są już podrosłe, kilkadziesiąt centymetrów długie. W drodze spotykają rozmaite przeszkody, które je w dalszym pochodzie wstrzymują. Wysokie wodospady, jazy i tamy przebywają one jednak, wijąc się w górę szczelinami skał lub szparami w budowlach sztucznych. Byle podstawa wilgotna, lub prąd słaby, a już zdoła delikatne stworzenie przecisnąć się na drugą stronę przeszkody. Nawet na pionowych ścianach wspinają się węgorzęta do góry, jeżeli powierzchnia ich jest wilgotna i nie zbyt gładka. Mylnem jest jednak twierdzenie, jakoby węgorze, tak młode jak i stare, czy to w celach wędrówki, czy też za żerem (do grochowisk!), wychodzić miały na ląd i po łąkach odbywać dalekie spacery. Mając szpary skrzelowe wązkie i szczelnie przymykalne, może węgorz wprawdzie jakiś czas żyć na powietrzu bez wody, jednak pełzać po ziemi jak wąż nie może z powodu swej budowy anatomicznej. Podstawę do rozpowszechnionej bajki o wędrówkach węgorzy po lądzie dała ta okoliczność, że je często spotykano na brzegach stawów i tym podobnych zamkniętych zbiorników wody, zkąd w porze, kiedy się objawia u węgorzy popęd do wędrówki, usiłują umknąć. Wyrzuciwszy się jednak na suchy brzeg, nie są zdolne do postępowego ruchu w pewnym oznaczonym kierunku, lecz wiją się tam nieudolnie w tę i w ową stronę i chyba tylko przypadkiem mogą się dostać na przyległe pole lub nawet do rzeki czy potoka, płynącego w pobliżu.



KORESPONDENCYE.

Z pod Słonnego w kwietniu.

(Jeleń na rozkładzie — lis na jodle — dziki.)

Przesyłam wam małą relacyę z polowań sanockich. Okolica nie obfituje w zwierzynę, nie daje się na jednem polowaniu po 100 strzałów, polowania przeważnie górskie, trudzące. Jednakowoż dla amatorów przyjemne, bo przypominają starodawne łowy.

Na niezwykłe w tej okolicy polowanie zaproszony zostałem do Załuża 7. stycznia br. Bilecik opiewał: „Zapolujemy sobie na dziką bestyę". Pewny byłem, że są dziki — jakież więc było moje zdziwienie, kiedy przybywszy na plac zboru, powiedział mi sąsiad, iż jest jeleń. Był to ósmak z ładnemi rogami, który po krótkiem polowaniu znalazł się na rozkładzie.

W parę dni później zabił w Załużu sam właściciel lisa na jodle w wysokości sześciu do siedmiu metrów. Lis, widząc niebezpieczeństwo z dołu, chciał ratować się skokiem z góry, lecz zaledwie pokazał niuch, dostał kilka śrutów w głowę. Pomimo celnego strzału lis znikł, teraz chwila oczekiwania, wszystko ucichło, lis nie spada, dopiero po szturkaniu żerdziami spadł razem z kilku zbutwiałkami.

Dziki sprawiły nam kilka miłych chwil. W Tyrawie wołoskiej w marcu padły 3 sztuki, trzy też tylko były. A p. M. zrobił dubletę, nic to jednak dziwnego, gdyż wygrywa zakłady strzelając na 80 kroków, z gładkiej lufy, do srebrnych guldenów. We Wielką Sobotę padła w Załużu samura, dwoje małych zaledwie kilkodniowych złapano żywe, a trzeciego zadusił jamnik. W tym wypadku nie sprawdził się przesąd, iż ksiądz odbiera myśliwym szczęście, gdyż na wyjezdnem nadjechał ksiądz, przyjętym zwyczajem poświęcić jajko i kiełbasę. Gospodarz, myśląc o dzikach, przyśpieszał święcenie, aby prędzej wybrać się do lasu. Aż tu i koni niema, spiesznie przeto odsyłają księdza, aby tym samym zaprzęgiem myśliwi się do lasu dostali. Pomimo tego z maciorą i prosiętami wrócono wieczorem.

Stan sarn z każdym rokiem powiększa się, bywają stadka po kilka sztuk; wprawdzie wilki w tym roku i do nas zawitały, lecz szkód nie wiele wyrządziły. Mamy nadzieję, że zwierzostan sarn wkrótce znacznie się powiększy. Byle tylko plotka krążąca w okolicy nie była prawdziwą, iż amatarowie myśliwi liseccy przenoszą comber z siuty nad kozła. Powtarzam, że to jest plotka, w którą nie chcę wierzyć.

Dla ochrony zajęcy tępimy jastrzębie. Lisów za Sanokiem otruto około 40 sztuk; w dwu majątkach twarda zima zmuszała spuszczać się na równiny.

Ciągi słonek słabe, ciągłe zimno nie sprzyja tej wiosennej pociesze myśliwego. O obławach z urzędu na dziki nie piszę, bo jak zwykle kończyły się ubiciem szaraka.

Wspomnienia polowań z okolicy Słonnego, racz przyjąć Szanowny Redaktorze; może czytelnikom „Łowca" na na krótką chwilę przypomną i ich wspomnienia myśliwskie — ich trofea i pudła! *W. W.*

KRONIKA.

†

Dr. Zygmunt Rieger

zmarł dnia 25. kwietnia 1893.

Z głębokim żalem bierzemy pióro do ręki, aby choć kilkoma słowy uczcić pamięć zacnego i w najszerszych kołach szanowanego obywatela, który obok swych obowiązków zawodowych, uprawiał z rzadkiem zamiłowaniem i znawstwem łowiectwo. Nie łatwo się znów znajdzie równie miły towarzysz wypraw myśliwskich, równie pewny strzelec a serdeczny druh w złej i dobrej doli. Jako długoletni członek Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego, a następnie prezes Towarzystwa myśliwskiego św. Huberta, wspierał niejednokrotnie światłą radą lub dzielnym czynem sprawy łowiectwa. Świat lekarski utracił w nim jednego z najświatlejszych — racyonalna hygiena, opierająca na ćwiczeniach ciała i zdrowiu jednostek, zdrowie i przyszłość narodu, orędownika najwytrwalszego — chorzy zaś lekarza, który z poświęceniem, do ostatniej chwili twardy swój zawód umiał wykonywać i z miłością bliźnich go łączyć...

Przy składaniu zwłok śp. Zygmunta Riegera na wieczny odpoczynek uczcili go już współzawodowi. Dziś przez nasze usta cała drużyna myśliwska składa wyrazy czci i pamięci serdecznej na mogile przedwcześnie zgasłego druha.

Na cietrzewie polował arcyksiążę Leopold Salwator w Derewni u p. Tadeusza Starzyńskiego dnia 25. kwietnia. Prócz arcyksięcia wzięli udział w polowaniu: major baron Lazarini, Stefan hr. Szembek i Stanisław hr. Siemieński. Arcyksiążę zabił jednego poranku z jednej i tej samej budki, pomimo niesprzyjającego powietrza, aż cztery koguty.

Projekt ustawy łowieckiej przedłożył rząd w tym roku ponownie Sejmowi krajowemu. Jest on, niestety! słowo w słowo taki sam, jak zeszłoroczne przedłożenie rządowe, które, nie mogąc przejść przez czyściec komisyjny, nie doczekało się załatwienia w pełnym Sejmie.

Przypominamy, że na walnem zgromadzeniu gal. Tow. łowieckiego w d. 26. marca zr. był ów projekt przedmiotem obrad i dał powód do przedłożenia Sejmowi petycyi, w której Towarzystwo nasze wykazuje niewłaściwości lub szkodliwości niektórych projektowanych postanowień i prosi o zmianę a względnie usunięcie tychże z projektowanej ustawy. Skoro więc rząd przedkłada dziś ten sam projekt Sejmowi, pozwalamy sobie przypomnieć dbałym o losy łowiectwa posłom rzeczoną petycyę, prosić o wydobycie jej z aktów Wydziału krajowego i dopilnowanie, ażeby znów przypadkiem nie ukuto jednej z takich ustaw, która się z właściwościami i potrzebami naszego kraju nie rozlicza, a jest tylko szablonem ustaw, robionych przy zielonym stole... *für diverse Kronlaender...*

W Czechach statystyczny wykaz ubitej w r. 1892 zwierzyny wykazuje: 2.432 jeleni, 1.661 danieli, 12.312 sarn, 620 dzików, 476.978 zajęcy, 27.980 królików, 1.232 głuszców, 5.266 cietrzewi, 568 jarząbków, 53.355 bażantów, 492.304 kuropatw, 10.430 przepiórek, 2.893 słonek, 781 kszyków, 315 dzikich gęsi i 12.741 dzikich kaczek — razem 1,101.874 sztuk zwierzyny pożytecznej. Prócz tego ubito 58.199 sztuk zwierza szkodliwego, a mianowicie: 2.518 lisów, 2.715 kun, 12.890 tchórzów, 225 wyder, 225 borsuków, 27 puhaczy, 39.599 orłów i innego ptactwa drapieżnego.

Wystawa rybacka odbyć się ma między 8-ym a 12-ym czerwca b. r. w Monachium, urządzona staraniem tamtejszego krajowego Towarzystwa rybackiego.

Białego zupełnie borsuka z czerwonemi oczyma ubito ubiegłej zimy w pobliżu Westheimu w Wirtembergii.

Ochrona zwierząt łownych, wedle najnowszych przepisów, wydanych przez rosyjskie ministerstwo dóbr rządowych, odnosić się tam będzie nietylko do zwierząt pożytecznych, lecz także do rzadszych drapieżców i szkodników, o ile przez nierozważne ściganie zupełnem wytępieniem są zagrożone. W ochronę wzięto więc także bobry, sobole, wiewiórki, lisy i wydry. Dozwolonem jest zabijanie tylko samców dorosłych, za zabicie zaś samic nałożone są kary pieniężne. Natomiast nowe prawo upoważnia ziemstwa do wprowadzenia powinności w naturze ku tępieniu wilków i niedźwiedzi, przyprawiających właścicieli bydła o znaczne straty materyalne.

Napad wilków na pociąg kolejowy — oto wiadomość senzacyjna, lecz nie wiemy o ile prawdziwa, o której donoszą z Astrachanu. W pobliżu tego miasta zatrzymał się pociąg w skutek znacznych zasp śnieżnych i zanim zdołał się z nich wydobyć, napadnięty został przez ogromne stado wilków. Sześciu podróżnych i trzech ze służby kolejowej, którzy nie zdążyli dość wcześnie umknąć do wagonów, stali się pastwą rozwścieczonych głodem bestyj i zostali na miejscu pożarci. Przeraźliwie wyjące wilki oblęgały nadto ów pociąg przez całą noc i dopiero tuż przed wschodem słońca zabrały się do odwrotu. Podróżnym, uzbrojonym w rewolwery, udało się położyć trupem około dwadzieścia wilków.

Ruja sarn, istotna i pozorna, znana myśliwym i będąca ciągle przedmiotem różnych kontrawersyj, znajduje świeży przyczynek w relacyi, jaką jeden z myśliwych zdaje pismu *Waidmannsheil*.

„Dużo już pisano i mówiono o tem — pisze ów myśliwy — w którym miesiącu odbywa się właściwa ruja sarn, a chociaż dziś nie ulega żadnej wątpliwości, iż czasem rui właściwej jest koniec lipca a względnie początek sierpnia, to przecież dowodzi praktyka, że nie ma reguły bez wyjątku. W r. 1890 w zwierzyńcu, który jest otoczony plecionym płotem na 3 i pół metra wysokości, miałem w późnej jesieni 10 sarn, których liczba wszakże, z powodu choroby wątrobianej, z wiosną r. 1891 na trzy sztuki się zredukowała. Pomimo wszelkich usiłowań, nie mogłem dla tych trzech siut aż do końca października 1891 dostać kozła. Przysłano mi wreszcie dużego capa, z którym się siuty, wedle zapewnienia mego leśniczego, goniły. Jak rzekłem, zwierzyniec mój, około 12 morgów obszaru, jest cały ogrodzony i nie ma dziur w ogrodzeniu, gdyż trzymam także zające w zwierzyńcu. Nie może więc ulegać wątpliwości, że listopadowy kozioł jest ojcem czworga koźląt, któremi go dwie siuty przy końcu maja i z początkiem czerwca 1892 obdarzyły. Widocznie więc natura urządziła się tak przezornie, że w pewnych okolicznościach pozorna ruja listopadowa może się stać rują prawdziwą“.

Cała ta relacya jest wielce ciekawą i popierałaby twierdzenia Kaźmierza hr. Wodzickiego, który za rują listopadową uporczywie obstawał, jakże jednak w takim razie wygląda czas czterdziestotygodniowej brzemienności siuty? *Aut, aut* — albo ruja lipcowa, albo brzemienność krótsza, bo inaczej sprawozdawca *Weidmannsheilu* z dziesięciu tygodni się nie wyrachował.

Jemiołę, znany pasożyt, obsiadający czasem bardzo licznie kulistemi krzewami topole, dęby, i inne drzewa, zalecają jako wyborną karmę dla zajęcy i sarn. Zbijanie tych krzewów z drzew jest łatwe, gdyż łodygi ich są kruche. Zauważano jednak, że zwierzyna robi różnicę w jemiole wedle tego, z jakiego drzewa jest zdjęta, i jednę chętnie je, a innej nie rusza. Zdaje się, że do soków jemioły dostaje się już to garbnik, już to części żywiczne drzewa, na którem pasożytne wiodła życie, i wedle tego rozróżnia w niej zwierz różne smaki.

Wierna gołębica. *Pester Loyd* zamieszcza następne opowiadanie pewnego węgierskiego hodowcy gołębi: „Znalazłem na strychu mego domu gołębia samca nieżywego. W pobliżu snać opłakiwała zgon jego biedna wdowa, skoro bowiem wyrzuciłem martwego ptaka przez dymnik na dziedziniec, gołębica poleciała tam niezwłocznie i później wszędzie mi towarzyszyła, gdziekolwiek się udałem z drogiemi jej zwłokami. W końcu, chcąc zakopać je w spokoju, musiałem zamknąć gołębicę do klatki. Po upływie pół godziny wypuściłem ją na wolność. Zaczęła natychmiast krążyć nad całem obejściem, poczem znużona zda się, powróciła na strych i przez cztery dni nie ukazywała się wcale oczom moim. Napróżno starałem się zwabić ją pszenicą, nie tykała wcale pokarmu i piątego dnia zastałem zimne jej zwłoki. — Wzruszający przykład miłości małżeńskiej wśród zwierząt.“

Słonka samobójczyni. Pewien robotnik w Vietzing, w Karyntyi, znalazł dnia 25. marca pod murem, otaczającym zabudowania fabryczne, w których pracował, omdlałą słonkę. Podniósł ją ucieszony niespodziewanym nabytkiem, lecz słonka niestety wkrótce zginęła. Po dokładnem zbadaniu jej okazało się, że sama się na ciągu zabiła, uderzywszy główką o oślepiająco biały mur fabryczny. Mur ten, zwrócony jest na południe i oświecony był owej nocy księżycem. Dziwnem jest, że zwykle tak ostrożny ptak, nie zauważył tym razem przeszkody.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Kopernika 30.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.